

## FAUSTUS SOCINUS.

OBRAZEK Z XVI STULECIA.

Wspaniałe komnaty starożytnego dworca Morsztinów w Krakowie, napełniły się tłumem ochoczych biesiadników, zgromadzonych na obchód godów weselnych najstarszej córki pana Krzysztofa Morsztina, z cudzoziemcem szlachtetnego rodu i rozgłośnej sławy. U długiego stołu uginającego się pod ciężarem mis i dzbanów srebrnych, zasiedli nowożeńcy wśród grona pokrewnych sobie panów Tarnowskich, Sieniawskich, Pileckich, Chlebowiczów i wielu innych zacnych gości. Elżbieta Morsztinówna w srebrnej lamowej sukni, która jeszcze jej babce i matce służyła w dzień ślubu, w rozmaitym wieńcu uwitym na złotym łąbku, zapiętym po nad czołem błyszczącymi jak gwiazdy djamenty, piękna, uśmiechnięta, radosna, wyglądała niby jasny promień wesela, obok małżonka którego wspaniałą i urodziwą lecz poważną zarazem postać, okrywała ciemna aksamitna szata, zdobna jedynie grubym złotym łańcuchem.

Ilekróć oczy dziewicy spotkały się z wejściem męża, tyle razy zniknął wyraz posępnego zamyślenia rozlany po jego obliczu, a natomiast rozjaśniał je uśmiech szczęścia. Półgłosem wiedli z sobą śnać bardzo wdzięczną rozmowę, bo gwar wesóły współ-

biesiadników, widocznie przelatywał mimo ich uszu. Dwóch statecznych mężów przyglądało się temu niechętnie, spijając w przeciwnym rogu stołu słodkie cypryjskie wino. Za ledwie po skończeniu uczucia powstano aby przejść do innych komnat, porzucili spiesznie puhary na wpół napełnione jeszcze złotym płynem i przystąpili do nowożeńców.

— Zdaje się że miłość kobiety starczy wam dziś za wszystko, rzekł doń jeden z nich łaciń-

ską mową, a jednakże pamiętaćby należało, dodał spoglądając chmurnie dokoła, że powierzony od Boga kierunek dusz ludzkich, droższym nad nią winien być skarbem.

— Nie zapominam ja o tém, odparł niechętnie zagadniony, lecz komuż wadzić mo-



że jeśli chwilę poświęcę szczęściu którego nie napotkałem dotąd w méj samotnej pielgrzymce po świecie. Zawód mój bardzo gorzki, wszak wiecie o tém najlepiej — potrzeba mi wytechnąć niekiedy aby nabrać sił do dalszej walki.

— Nie wzbraniamy tego, uchowaj Boże! — lękamy się tylko aby wypoczynek nieprzeciągnął się zbyt długo u boku krasnej niewiasty — dorzucił drugi mąż z przyciskiem. Strach nam aby nieprzyjaciele nie natrząsali się z mistrza, który opuszcza dobrowolnie szranki gdzie zdobyć mógł nieśmiertelne skarby myśli i wyzwolić dusz tysiące z niewoli ciemnoty.

— O na Bóg żywy, nie lękajcie się tego! nie cofnę się nigdy przed mém powołaniem, azaliż nie poświęciłem mu ojczyzny, rodziny, dostatków? Wszak zarówno jak nadziadowie moi mogłem żyć we własnej ziemi na równi najpierwszych jéj obywateli, a zostałem dobrowolnym wygnańcem i tułaczem dla miłości prawdy, do głoszenia której przed ludem sam Bóg mię powołał!

Oczy meża jaśniały blaskiem ponurym gdy słów tych domawiał, ręce któremi ścisnął ramiona przyjaciół drgały konwulsyjnym ruchem, zdawało się że wyniosła postać jego w górę jeszcze wzrosła spotężniona fanatycznym zapalem.

— O tak dobrze — tak was widzieć lubiemy, rzekł jeden z towarzyszy zacierając ręce radośnie. Święty zapal przystoi wybrańcowi Pana, szlachetnemu Socinusowi, którego imie potomne wieki podawać sobie będą ze czcią i poszanowaniem!

— Nie mów mi o sławie Satorjusz, przerwał Socinus, sprowadzić na ziemię królestwo Boże, oto me zadanie, zadanie któremu podołam przy pomocy Boga, dodał poważnie.

— Powiedz raczej przy pomocy czarta, przekłety heretyku! mruknął półgłosem gruby i baczysty szlachcic, który przechodząc tamtędy dosłyszał ostatnich słów mistrza.

— Co on mówi? rzekł Socinus ściągając brwi groźnie.

— Nie zważałem, odparł Satorjusz, lecz domyśleć się nie trudno — przekleństwo lub groźba wiecznie na ustach pana Wiernika ilekroć was spotka, od czasu w któ-

rzym, jak powiada, *obalamuciliście* waszą nauką teścia jego Ligenzę.

— Taką nagrodę odbieram najczęściej od przyjaciół lub krewnych ludzi, którym wskazałem prawdziwe światło, ozwał się z gorzkim uśmiechem Socinus.

— I cóż w tém dziwnego? azaliż innym był kiedykolwiek los wybrańców Bożych, postawionych jak jasne pochodnie przed obliczem narodów? czyż niestarano się zawsze przygasić ich światła gradem zimnych kamieni, lub deszczem martwego popiołu? Nie zaginęła przeto dzieł ich sława i świat się w końcu przed nią ukorzył! Albo i z wami nie toż samo? dawnoże jak byliście wygnańcem z tych murów, w których dziś pochylają się przed wami harde głowy co was poniżać chciały! —

— Przemozna opieka teścia mego trzyma teraz na wodzy przeciwników, lecz kto wie co później być może, odparł zimno Socinus, nie rad widać przypomnienia gorzkich chwil niedawno ubiegłych.

— Rękojmią bezpieczeństwa na czas późniejszy, jest życzliwość miłościwego króla téj krainy, którą wyjednał wam zacny lekarz jego...

— Oświadczyłem mą wdzięczność Blandracie za okazaną mi przyjaźń, pisałem doń również że po Bogu i księciu Toskańskim, pan jego król Stefan, najpierwsze zajmuje miejsce w mém sercu, wiem jednakże z doświadczenia lat wielu, że łaska królewska przeminąć może równie szybko jak promień wiosennego słońca! —

— Przyznajcież to przynajmniej, ciągnął dalej Satorjusz niekontent że nie w smak mistrzowi jego mowa — przyznajcież choć w tém widomą opieką Boga nad wami i nadzieję lepszej przyszłości, że w ucisku waszym znaleźliście gościnność w Pawlikowskim dworze.

— O! to pewno! — inaczej nigdy może nienapotkałbym téj, która obecnie stanie się osłodą wszystkich mych goryczy! zawołał żywo Socinus — ale za długo już rozmawiam z wami, dodał spoglądając w stronę w której nadobna Elżbieta siedziała w równie gronie, odłóżmy resztę na później — a tymczasem bywajcie mi zdrowi!

— Idź z Bogiem, rzekł Satorjusz — a pamiętaj że rachujemy na cię w danéj chwili!

— Pokażesz wtedy co umiesz przeciw sztukom tych niecnych heretyków <sup>1)</sup> do rzucił spoglądając za odchodzącym drugi towarzysz Smalcjusem zwany.

— Bodaj was pochłoneła żywcem otchłań piekielna zgotowana czartu i sługom jego, podłe bluźnierce! ozwał się znów zicha gruby głos pana Wiernka, który snać z umysłu kręcił się w tej stronie aby podsłuchiwać rozmowy trzech przyjaciół.

Faustin Sozzini powszechnie u nas *Socinusem* zwany, pochodził z włoskiego miasta Sienny, ze szlachećnej i zamożnej rodziny słynnej zamknięciem nauki. Gdy utracił w dzieciństwie rodziców, zajmował się wychowaniem jego stryj, znany w Polsce roznosiciel religijnych nowości Lelius Socinus. Bystrego i chciwego wiedzy umysłu młodzieniec, popadł wcześniej we właściwą owym wiekom chorobę, zgłębiania niedoścignych ludzkemu rozumowi tajemnic. Oddany cały teologicznym studjom, dla dalszego kształcenia zamieszkał wraz z stryjem w obcych krajach. Powróciwszy do Włoch po jego śmierci, znalazł gościnne przyjęcie na dworze Franciszka Toskańskiego księcia. Bawił tam czas długi, lecz uprzykrzywszy sobie bezczynność, zdjęty niepohamowaną żądzą apostołowania, wydalil się do Bazylei. Przez lat trzy badając tamże pismo święte według komentarzów stryja, wypracował rozprawę w której później bronił publicznie zasad Arjusza, naczelnika sekty utworzonej w czwartym wieku po Chrystusie. Naukę tę wznowił już podówczas Arragończyk Servet, którego Kalwin, umówiwszy się po temu z radami miast szwajcarskich Zurichu, Bernu, Bazylei i Szafuzy, wraz z dziełami jego, spalić kazał publicznie na stosie w Genewie w r. 1553 <sup>2)</sup>. Przedstawicielem tejże samej zasady obrał się Sozzini i jako jej apostoł wyruszył najpierw do Siedmiogrodu gdzie miasto Kołosz (Clausenburg) by-

<sup>1)</sup> Arjanie zwali powszechnie *heretykami*, zarówno katolików, jak wszelkie inne nieprzyjazne sobie chrześcijańskie wyznania.

<sup>2)</sup> Piotr z Goniądza podróżując w tymże czasie w obcych krajach, poznał się z Servetem i rozszerzał później jego zasady w Polsce i Litwie.

ło wtedy główną stolicą arjanów, następnie zaś udał się do Polski. Zarówno jak w ościennych krajach i u nas niebrak było wtedy umysłów chciwych teologicznych dociekań. Odszczepieństwa od katolickiego kościoła nie były jednakże tak liczne jak gdzieindziej, z powodu że mądra i opatrzna miłość obu Zyguntów dla ludów powierzonych ich berłu, położyła im najlepszą tamę, wzbraniając prześladowania innowierców. Podczas gdy u chełpiących się dziś z cywilizacji Niemców i Francuzów, zagrożeni śmiercią sektarze mnożyli się ze wszech stron w groźnych zastępach, w Polsce gdzie uszanowano wolność myśli, jawili się wprawdzie i tu i owdzie, lecz nie było nigdy obawy aby większość narodu odstąpiła Świętej ojców wiary. Przybywszy tedy do Polski, Socinus uradowany że mógł wypowiedzieć głośno swe zasady, dał się wkrótce poznać w sporach z Andrzejem Wolanem i z Kollegjum Poznańskim. Ale że w owych czasach, jak powiada A. Moraczewski: „co się tylko komu w nocy przyśniło, lub w chwili bezsennej wymarzyło, to zaraz nazajutrz jako prawdę głęboką sam wiozł albo rozpisywał na całą Europę, do wszystkich mistrzów religijnych nowości“ więc też codziennie mnożyły się nowe przekonania, które ich twórcy mniej lub więcej szczęśliwie podtrzymywali. Otóż i Socinus przyjęty z początku z zapalem, znalazł wkrótce przeciwników pomiędzy zwolennikami swemi. Aby ich pobić we właściwy sposób, ogłosił drukiem rozprawę której wpiery bronił publicznie. Broszura ta, wydana w języku łacińskim pod tytułem: *de Jesu Christo Salvatore* tak podburzyła niechętnych, z powodu nowo utworzonych dogmatów na które się w żaden sposób zgodzić nie chcieli, że mistrz oskarżony przez nich przed magistratem miejskim, uciekać musiał z Krakowa. Schroniwszy się do pobliskiego Pawlikowa, właścici dziedzicznej pana Krzysztofa Morsztina, znalazł nie tylko gościnne przyjęcie i opiekę przeciw zarzutom które groziły mu więzieniem, lecz nadto skłonił ku sobie serce pięknej córki gospodarza, a zyskawszy zezwolenie rodziców, zaślubił ją w Krakowie, gdzie powrócił osłonięty opieką możnej jej rodziny i wsparty u króla przyja-

źnią lekarza jego Blandraty. Uczeni męże Wincenty Smalcjus i Piotr Statorjus byli najwierniejszemi przyjaciółmi Socina we wszystkich zmiennych losu jego kolejach. Smalcjus był wychodźcem niemieckim przybyłym do Polski podczas religijnego prześladowania w swym kraju, Statorjus zaś pochodził również z rodziny wygnańców z Luxemburskiego miasteczka Thionville, przypuszczonęj do szlachectwa polskiego pod nazwą *Stoińskich*. Ojciec Statorjusza napisał pierwszy grammatykę polską wydaną u Wierzbicy, on zaś sam wydał trzy łacińskie broszury w obronie Socina i należał do grona uczonych jak: Jan Łaski, Marcin Krowicki, Jerzy Blandrata, Grzegorz Pauli, Stanisław Lutomirski, Bernard Ochinus, Paweł Aleyatus i Jakób Lubelczyk, którzy składali tak zwane *Ateny polskie* w Pinczowie.

Po ukończonych weselnych godach, Faustus Socinus wraz z młodą swoją małżonką, zamieszkał w Krakowie wspaniały dworzec który przyozdobił w różne zamorskie cuda, rzadko napotykanne nawet w królewskich komnatach. Na ścianach obitych w złotem przetykane makaty, aksamity i altembasy, zwieszały się w kunsztownie rzeźbionych ramach obrazy, dzieła ziomek mistrza znakomitych w malarskiej sztuce. Na złotych półkach stały drogocenne cacka z kosztownych kamieni, rzeźbione złote i srebrne naczynia, osobliwe muszle, ptaki o jaskrawem pierzu tak sztucznie wypchane, że przysięgłbyś jako nie szklannemi ale żywymi patrząc na cię oczyma, kawały wonnego bursztynu przykrojone w różne kształty i gałęzie czerwonych koralu tak jak je Bóg na dnie morskiem stworzył. Na stołach pokrytych wschodniemi kobiercami, umieszczono złociste dzbany lub białe marmurowe wazy pełne pachnącego zieleń, w oknach strojnych w ciężkie jedwabne franki wisały na srebrnych łańcuszkach wielkie konchy morskie, a w nich trochę ziemi z której wyrastały nieznanne kwiaty, napelniające powietrze lubą wonią. Piękna Elżbieta chociaż wychowana w zamożnym domu rodziców nie widziała nigdy nie podobnego, radowała się też jak dziecko, cudzoziemskimi wykwinty i biegła wesoło po komnatach ozdobionych tyloma osobliwo-

ściami. — Faustus Socinus starszy znacznie od pięknej Morsztinów córy, skłonił ją ku sobie zarówno wspaniałą postawą, pięknem obliczem, jak rozgłosną sławą i obejściem pełnem dworności rycerskiej nabytej długim przebywaniem przy boku Florenckiego księcia. Pragnąc jednakże zachować na długo przychylnosc młodej niewiasty, pilną dawał bacznosc, aby napotykała ciągle ślady troskliwej pieczy o wszystko co jej może kwiatami ubarwić życie. Od czasu ożenienia rzadko też kiedy odezwał się z uczoną dysputą, niewychodząc prawie z domu, aby nie stracić i chwili nieznanego dotąd szczęścia. Smalcjus i Statorjus przewidywali już nie żartem jako sprawdzają się ich smutne proctwa, że mistrz zaniecha natchnionego dzieła u kolan niewieścich, lecz mowy ich niepodniecały jak niegdyś zapału jego. Nie raz wprawdzie zabierał się do napisania rozprawy teologicznej zachęcony ich prośbami, lecz w chwili gdy rozmyślając o tej pracy roztwierał grubą księgę z której miał czerpać natchnienie, uchylała się jedwabna drzwi opona i nadobna Elżbieta zarumieniona jak głóg leśny, nieśmiało zaglądała do komnaty. Księga zsuwała się wtedy sama z siebie z kolan mędrca, a usta jego zamiast słów które miały zgromić przeciwników, z pełnym błęgiego zachwytu uśmiechem wymawiały: *o cara mia!*

W rok od czasu weselnych godów, nie zmieniło się nic na pozór w komnatach Faustinowego dworca; też same porostawiane w nich cacka, toż samo złoto i jedwabie, kwiaty również cudnie kwitną i wonieją, a jednakże nie pojęta jakaś tęsknota cięży jak głaz do koła. W pracowni swęj, wśród rozrzuconych ksiąg i papierów siedzi znów Socinus. Rzekłbyś że nie jeden lat dziesiątek przeleciał mu po nad głową, od czasu w którym młoda małżonka obecnością swą przerywała jego poważne zatrudnienia, taki szron siwizny przypruszył czarne jak heban włosy, tak przygasło wejrzenie promienne wtedy ogniem zapału. Spojrzawszy na tę bladą i martwą postać, niedawno jeszcze jaśniejącą życiem młodości, zrozumiałeś dopiero żalosne osierocenie całego domu, pojąłeś tęskną pustkę komnat z których uleciała ożywiająca je dusza, wraz z życiem

młodej pani. Elżbieta Morsztinówna umarła w rok po ślubie zostawiając małą dziecinę, niby pamiątkę krótkiego pobytu swego na ziemi. Hardy duch Socina zachwiał się pod tym gromem. Zuchwały mistrz co sądził w swą pyszę że zbałał jestestwo Boga, którego był wysłańcem na ziemi, ugiął się pod ciosem wszechmocnej ręki i zapłakał jak dziecię nad martwymi zwłokami ulubionej swojej. Dnie całe spędzał w bo-

Rozповідаł potem jako mistrz kęczał przed nim prosząc o przebaczenie, co było nieprawdą, a jednakże Socinus obojętnym był zarówno na obelgi jak na oszczerstwa którychby dawniej nieznosił nigdy. Dziwowali się bardzo temu wszyscy, niepojmując, że wielka i prawdziwa boleść zubojeźnia najcięższe urazy. Czego jednakże nie mogły dokazać rady i perswazyje przyjaciół, to zmienił zwolna czas, jedyny

lekarz który zlągodzić może rany duszy, chociaż ich zagoić nie zdoła. W parę lat po śmierci żony, Socinus lubo zawsze smutny i strapiony począł znów powoli zabierać się do swych zwykłych zatrudnień. Przypadały podówczas właśnie synody w Brześciu i w Lublinie zwołane przez różnowierców, ukazał się na nich z wielką radością przyjaciół



Cóż uczyniliście na miłość Boga zawołał załamując ręce nad omdlałym Socinem.

lesném rozpa-  
miętywaniu  
swój żalosci,  
niechcąc ani  
słyszeć ani  
wiedzieć  
o tém co go  
dawniej zaj-  
mowało. Bo-  
leli nad tém  
wierni uczni  
i przyjaciele,  
chcieli go ko-  
niecznie wyr-  
wać z miejsca  
pełnego  
wspomnień  
opłakiwanej  
przezeń prze-  
szłości, lecz  
daremne były  
wszelkie ku  
temu usilo-  
wania. Cier-  
pieli również  
niepomału na  
tęj słabości

wszyscy arja-  
nie, od na-  
zwy mistrza *Socinianami* zwani, bo inne se-  
kty napadały na nich groźnie, a nie było ko-  
mu odpierać tych ciosów. Na synodzie 1583  
roku, na którym nie chciał wystąpić po-  
grążony w swą boleść Socinus, nie pokazał  
się nikt z jego przyjaciół, ani też z braci  
ziemi krakowskiej, zawstydzonych nieobe-  
nością przywódcy swego. Na domiar po-  
hańbienia szlachcic Wiernek, zażarty za-  
wsze o nawrócenie teścia, upatrzywszy  
stosowną porę, napadł jadącego na drodze  
pod Krakowem i zatkawszy mu błotem  
nsta, siłą zmusił aby padł na kolana.

i jak gdyby powetować chciał czas stracony  
w bezczynności, odznaczył się świetnie w roz-  
prawach z tak zwanymi Dawidjanistami  
i Budneistami. Tryumf ten odniesiony  
po kilku latach milczenia, zjednał mu  
znów wielu zwolenników i pobudził czuj-  
ność nieprzyjaciół. Za ich podmowę, któ-  
rą nieodpierała tą razą rodzina Mor-  
sztinów, król wydał znów wyrok wygnania  
z Krakowa. Poddał mu się z sercem przepę-  
nioném goryczą Socinus, szlachetna duma  
nie dozwoliła aby szukał pomocy u oboję-  
tnych teraz krewnych żony, zamieszkał

więc w Pińczowie, sławném gnieździe różnowierców, w którém dawniej przewodzili kalwini mając na czele Stankara. Dziedzic Mikołaj Oleśnicki, wygnał z klasztoru zakonników i założył w nim szkołę. Zawiadywali nią uczeni męże o których wyżej wspominaliśmy, tutaj ułożono psalmy i hymny dla ludu i przetłumaczono na język polski Pismo Śte w Brześciu wydane, młodzież zaś cisnęła się ze wszech stron chciała zaczerpnąć nowego światła. Przy ciągłych jednakże zmianach które zaprowadzać wolno było każdemu w rzeczach wiary, arjanie zajęli powoli miejsce kalwinów i rozsiedli się szeroko w Pińczowie nazwawszy go wtedy *purae veritas nidum a Deo electum*.

Socinus zamieszkał więc wpośród współwyznawców, nie długo jednakże zawezwany do Rakowa przeniósł się tamże. Raków w owym czasie, śmiało mógł iść o współzawodnictwo z Pińczowem, a byli nawet tacy którzy go uważali za główną stolicę arjanów, z którą tylko siedmiogrodzki Kołosz (Clausenburg) mógł iść w porównanie. Sienicki kasztelan Żarnowski, gorliwy arjanin, budował umyślnie to miasto dla współwyznawców i od herbu żony (Gnoińskiej) *Harna* który się z raka składał *Rakowem* go nazwał: „Poosiadali tamże (mówi opisując Raków A. Moraczewski) co najznakomitsi arjanie tak Polacy, jak włosi, francuzi i niemcy, pozagrażani w swych krajach stosem i mieczem. Oprócz kościoła i studni do chrzczenia dorosłych, jako trzeci święty przybytek stanęła szkoła. Uczono w niej głównie języków łacińskiego i greckiego, oraz zasad swojej wiary. Nieprzesztawano jednakże na badaniu samego pisma Śgo i w ogóle ksiąg religijnych, ale szukano mądrości w dziełach Platona, Aristotelesa i innych filozofów. Przybywała młodzież ze stron odległych na nauki. Nie zapomniano założyć drukarni i z niej wychodziły katechizmy i różne rozprawy, a biblioteka snadno wzrastała skoro czytanie było główném zatrudnieniem mieszkańców. W życiu istniało braterstwo i stósowanie się do głoszonych zasad. Wzrastało znacznie miasto, co jednakże przypisać trzeba bardziej ściągnięciu skądinąd w jeden punkt znacznych kapita-

łów, aniżeli nowym urządzeniom socjalnym rozwiniętym w gnieździe tak małym.“ Długi czas przemieszkował tam Socinus drukując wszystkie swoje nie wydane jeszcze broszury i książki. Liczba dzieł jego w różnych czasach wydanych według spisu pana W. A. Maciejowskiego w jego *Piśmiennictwie*, dochodzi do osmnastu. Są to po największej części broszury w języku łacińskim pisane, niektóre z nich wyszły tłumaczone po polsku. Prócz tego ogłoszono drukiem listy jego do przyjaciół (*ad familiares*) zawierają one najwięcej szczegółów prywatnego życia mistrza oraz wyznanie jego wiary. Dziś należą do rzadkości bibliograficznych. W Piśmiennictwie pana Maciejowskiego przytoczone ciekawe o nich notaty Tadeusza Czackiego. Wśród poważnej umysłowej pracy, niezapominał Socinus niewiasty, która mu rozjaśniła na chwilę gorzką noc żywota. Dowiedziawszy się o śmierci Stefana Batorego, przybył potajemnie do Krakowa aby zwiedzić najdroższe swe pamiątki. Znalazszy się w domu który zamieszkiwał niegdyś z Elżbietą, czy to ze wzruszenia którego doznał wtedy, czyli też z innnej wewnętrznej przyczyny, ciężko zachorzał. Podczas gdy złożony na łożu boleści, w kilka dni po przybyciu dumął posępnie w samotnej swjej komnacie, przerwał mu nagle rozmyślanie dziki okrzyk tysięcy głosów, domagających się aby drzwi zamknięte rozwarło. Nie wiedział Socinus że nieprzyjaciele których, jak wspominają współcześni pisarze, miał zarówno prawie liczbę pomiędzy swemi jak pomiędzy katolikami, dowiedziawszy się o jego przybyciu, podmówili lud aby mu zniszczył papiery i księgi, a tłum ślepy i bezmyślny, jak fale wzburzonego morza popchnięte wichrem szalonym, popędził na niecną wyprawę. Zaledwie powstał z trudnością aby zapytać czego żądają, już wściekła tłuszcza wyłamała drzwi i wpadła do komnaty sypiąc gradem przekleństw i obelg. Przygasłe oko mistrza zatlało wtedy właściwym mu niegdyś ogniem ponurym, błada i wynędzniała postać jego podniosła się z groźną powagą, chwycił za rękojesć zawieszoną na ścianie szpady i spojrzawszy z pogardą po rozjuszonym tłumie kazał mu precz ustąpić. Szał zapaleczywych nie znał już wówczas miary,

jedni rzucili się aby plądrować po księgach i papierach, drudzy zaś rozbroili chorego i wywlekli go na ulicę.

— Wieść go do rektora, wołali studenci akademji krakowskiej, niech się przed nim wyrzeknie swych błędów, lub niech śmierć poniesie! —

— Ani wy, ani rektor wasz, niemacie prawa roztrząsać mego sumienia, zawołał głośno Socinus opierając się napastnikom o ile mu tego dozwalały słabe siły. Były to ostatnie wymówione przezeń słowa bo omdlał odebrawszy kilka silnie wymierzonych razów. Nieporuszeni tym wypadkiem szaleńcy wlekli go coraz dalej wśród dzikich okrzyków, gdy nagle na rogu ulicy ci co byli na przodzie wstrzymali się niby przed nieprzewidzianą przeszkodą. Co to jest? czemu nie idziecie dalej? wołali pozostali w końcu — ruszajcież bo dłużej czekać nie będziemy... ale nie odebrali żadnej odpowiedzi, tylko tłum w milczeniu rozstępował się przed mężem wyniosłej postawy, z którego ramion spływała profesorska toga, a siwe włosy pokrywał czarny aksamitny biret. Był to szlachetny Vadovita znany i ceniony powszechnie mistrz Jagiellońskiej wszechnicy. Szczęśliwym trafem znalazł się w tém miejscu aby przeszkodzić zbrodni.

— Cóż uczyniliście na miłość Boga! zawołał załamując ręce nad omdlałym Socinem, człowiek ten może już nie żyje! —

— Jeżeli nie żyje, ozwał się wtedy jakiś głos śmielszy, to zginął jak na fałszerza i bluźniercę przystało, jeżeli zaś nieumarł to zawsze śmierć ponieść musi!

— Nie wypuścimy z rąk kacerza skoro go raz złowiliśmy.

— Nie wypuścimy, nie wypuścimy! krzyknął jednogłośnie tłum cały uniesmieszony z początku widokiem profesora, teraz zaś rozzuchwalony na nowo śmiałym wystąpieniem kilku.

— Idźmy dalej naprzód, zawołali ci co wlekli Socina i poruszyli się aby wykonać swój zamysł.

— Stójcie nędznicy! rzekł wtedy z młodzieńczą żywością poważny starzec — Stójcie, na imię Boga, któremu zdacie kiedyś rachunek z waszego nikczemnego czynu! hańbą jest w wielkiej liczbie powstawać na jednego, hańbą nieszanować przywileju wol-

ności sumienia, któren miłościwie króle a ojce nasze, zostawiły nam w puściźnie. Jakim prawem zresztą karać możecie w imieniu tego który swym prześladowcom przebaczył? Czy myślicie, o ślepi! że Chrystus który jest miłością i pokojem chętnie przyjmie krwawą waszą ofiarę? Bóg jeden tylko może sądzić myśl ludzką, bo sam jeden rozumie jej zboczenia przyczyny, a wy nikczemne prochy przywłaszczacie sobie prawa jego majestatu! Ukorzcie się! błagajcie przebaczenia waszjej winy i puśćcie tego człowieka! —

Długo jeszcze w ten sens przemawiał szlachetny Vadovita, aż wreście tłum upokorzony i zawstydzony zwolna rozproszył się w milczeniu, porzuciwszy swą ofiarę. — Gdy w kilka tygodni potem Socinus powstał z choreby pogorszonej tym wypadkiem, Statorjus napisał i wydrukował broszurę na potępienie tych którzy go znieważyli. Mistrz zaś sam rozdrażniony i przygnębiony coraz więcej, nie chciał już dochodzić swjej krzywdy, lecz poruczywszy ją przyjaciółom pragnął tylko wynaleźć sobie ustronne miejsce, gdzieby mógł zdale od świata resztę dni przepędzić. Obrócił wtedy wzrok na Łuczławice, wieś położoną na podgórzu Karpackiem, która należała w połowie do przyjaciela jego, pana Abrahama Błońskiego, w połowie zaś do Stanisława Taszyckiego, światłego męża niegdyś dworzanina cesarza Karola V, obecnie zaś obywatela używającego ogólnego w kraju poważania. Pan Taszycki współwynawca Socina, założył u siebie kościół; z drukarnią i szkołą którą zarządzali węgryni, dla kształcenia pobliskich z kraju swego arjanów. Tam to osiadł mistrz pochylony więcej niż laty niepokojem i zgrzyotą, tam dokonał życia w 1604 roku. Szczupła garstka przyjaciół otaczała łoże gdzie pyszny i hardy duch Socina staczał ostatnią walkę, odprawiały się w nim zapewne pomiędzy Stwórcą a stworzeniem owe tajemnice miłości i miłosierdzia, które znakomity francuzki pisarz ks. de Ravignan tak pięknie określa temi słowy: *Gardons nous bien d'affirmer positivement la réprobation de personne en particulier, quels qu'aient été sa religion, sa conduite meme; dans l'ame au derniers instants du voyage sur la terre, au*

*seuil de l'éternité, il se passe des mystères divins de justice sans doute, mais par dessus tout, de miséricorde et d'amour.*

Agnieszka jedyna córka Socina i Elżbiety Morsztinówny, zaślubiła w kilka lat po śmierci ojca, Stanisława Wiszowatego i została matką liczego potomstwa. Rodzina Wiszowatych była podporą arjanów którzy już wówczas szeroko rozpostarli się w Polsce, zbory ich ciągnęły się od podnóża Karpat przez Ruś czerwoną aż po nad Dniepr i przez Podlasie w głąb Litwy. Oprócz wymienionych w ciągu tego opowiadania, znacz-

niejsze były jeszcze w Lublinie, w Lubartowie, w Bełżycach i w Śmiglu w Wielkiej Polsce. Wiele znakomitych rodzin mimo późniejszych wyroków wygnania z kraju arjanów, chwyciło się ich wiary, która z postępem czasu, zwyczajnie jako ludzkich rozumów wymysł, zużyła się, a wreszcie zaginęła bez śladu. Wizerunek Socina dany przez nas, zdjęty został ze starożytny ryciny której łaciński podpis brzmi w następującej osnowie: *Faustus Socinus Senensis magnus haereticus natus anno MDXXXVIII denatus anno MDCIV.*<sup>1)</sup>

A. z Ch. Borkowska.

## POLOWANIE NA RENNY W NORWEGJI.

Wyjątek z podróży Franciszka Wyndham.

Noc burzliwa minęła, ustało gwałtowne kołysanie okrętu, wybiegamy na pokład aby odetchnąć świeżem powietrzem i powitać gościnnie kraj do którego nasz statek dopływa. Co za widok! Szmaragdowe oceanu płaszczyzny, zamieniły się z nienacka w mur kamienny i wysoki. Na wierzchu tego muru z granitu, bieleją miejscami płyty śniegu. Woda ukorzyła się przed hardym olbrzymem strzegącym zachodnich ścian Norwegji, plusk jej nurtów, niedosłyszany prawie rozbija się u skalistych wybrzeży — gdy przeciwnie gdzieindziej, np. w zatoce Biskajskiej, z rykiem uderza fala oceanu, o zaporę tamującą dalszy jej postęp. Płyniemy z południa ku północy, minęliśmy nadbrzeżne miasto Stawanger, Kors Fiord (zatokę) nakoniec przybijamy do miasta i zatoki Bergen. Tu pod warownią leżącą na małym półwyspie, hrabia Sandwich w 1665 r. napadł na flotę hollenderską. Dzisiaj spokojniejszy widok tej zatoki. Mnóstwo kupieckich statków zapełnia przystań do której i nasz okręt spokojnie przypływa. Spokojnie? gdzie tam! Cywilizacja to jest tysiące form i formulek, czyha już na spokojność naszą. Kilkanaście drobnych statków podплыło pod nasz okręt; na jednych są przyjaciele i znajomi nowoprzybyłych; na drugich, urzędnicy komory.

Przyszła i na mnie kolej rewizji, szukają w mym pakunku ryb suszonych (kod fisz); obejrzeni starannie a nawet obwąchali moją broń, lecz widząc że to nie żaden artykuł żywności, oddali mi ją przecie — ha! jestem już zrewidowany. Idźmyż obejrzyć Bergen. — Co widzę? tu jest wystawa obrazów! o sztuko! gdzież sobie niebudujesz przybytków. Zwiedzam tedy najpierw wystawę. Składa się ona z obrazów przez samych artystów norweskich wykonanych. Prace Gudego i Tidemanda, najbardziej mię zajęły. Pierwszy maluje same polowania — na niedźwiedzia, rennów i t. d.; drugiego obrazy przedstawiają domowe życie wieśniaków norweskich; obadwa znakomici są artyści. Obejrzałem także muzeum w Bergen, jak na miasto 22 tysiące mieszkańców mające, muzeum to jest wcale nie złe; zbiór starożytności dość bogaty; dodać tu muszę iż w Bergen jest szpital dla trędowatych których dość znaczna liczba zajmuje łóżka szpitalne. Powiadają że z powodu karmie-

<sup>1)</sup> Wszystkie szczegóły niniejszego obrazka czerpane z tłumaczenia łacińskiego dzieła Przypkowskiego (Przypkovius) *Vita Fausti Socini*. Gdy później arjanie zostali wygnani z kraju, Przypkowski był na czele wychodźców wraz z Andrzejem Wiszowatym.



nia się tłustą soloną rybą, mieszkańcy Bergen podlegają téj biblijnej chorobie.

Cztery dni bawiłem w stolicy zachodniego Bergeenhuus okręgu, z dniem 1-m Sierpnia 1859 w Sobotę, wypłynęliśmy na morze. Znowu ściany gór zaciemniły nasz widnokrąg, lecz wkrótce ujrzeliśmy widok przypominający najwspanialsze okolice Renu. Płynęliśmy obok skał pokrytych olszyną i brzożami, wkrótce wystąpiła z wód przezrocza mała wyspa Terroen, cel naszej

wy na niedźwiedzia, który tak się rozspodarował w tamtych stronach, że kilkanaście sztuk bydła zadusił. Nasz znajomy prosił abyśmy w jego domu w Sandwig, bawili póki nam się podoba; my też korzystając z takich zaprosin postanowiliśmy nałożyć do łowów.

Pieszko, z pakunkami na plecach, w towarzystwie przewodników, ruszyliśmy do Bier-nöböl (niedźwiedzi pałac) takie jest nazwisko folwarku pod którym miano rozpocząć



Piaszczyny wyniosłe w Norwegji według Hansa Gudego.

podróży, przesiedliśmy się z parowca na łódzie które wysadziły nas na ląd. — Z Terroen, udaliśmy się do miasteczka Sandwig położonego nad brzegiem zatoki z kąd rozpoczyna się piękna i duża dolina, po której z łoskotem szybują górskie potoki. Gościnnie przyjęci w domu znajomego nam inżyniera, uraczeni kieliszkiem wina które nasz gospodarz kazał przynieść by uczcić szczęśliwe nasze pod jego dach przybycie, wypoczywaliśmy dzień cały gotując się do dalszej podróży. Aż tu nazajutrz dowiadujemy się iż władza zarządziła ogromne ło-

polowanie. Z początku podróż była jaka taka, lecz później musieliśmy przebywać drogę przez strumienie po ogromnych złomach skał. Gdyśmy wdarli się na szczyt skały leżącej w poprzek naszej drogi, ujrzaliśmy za sobą dolinę z miasteczkiem Sandwig i zatokę Hardanger, niknące mi z oczu. Wkrótce w około jasnego jeziora wieńcem stanęły strome wierzchołki skał, opodal zaś porzucane były chaty które w języku norweskim nazywają: *soeters*. Są to ubogie drewniane budynki dla przechowywania mleka, szczupłe schronienie pasterzy

i pasterek górskich. Po nader utrudzającej podróży przybyliśmy do Biernöböl. Leży ono na zielonej równinie przy brzegu jeziora. Mieszkańcy tego ustronia już się udali na spoczynek, lecz ponieważ wieśniacy w Norwegii śpią nie rozebrani, łatwo im było wyjść na przyjęcie nasze. I tu jak wszędzie, przyjęto nas nadzwyczaj gościnnie. Gospodyni tego mieszkania była to sobie mała krępa kobiecina, z wyrazem serdeczności na obliczu. Ubrana była w czapkę szafirową wełnianą z płaskim karczkiem z tyłu głowy. Szafirowa barwa jej odzieży z pasowym haftem na przodzie, pięknie odbijała od rękawów płóciennych koszuli śnieżnej białości. Taki ubiór noszą kobiety, w okolicy Hardanger. Gospośia wyszła na chwilę i niebawem wróciła z dzbanem mleka, chciwie rzuciliśmy się na ten posiłek, lecz jeszcze prędkiej oderwaliśmy czarę od ust — było to bowiem kozie mleko, tak nie miłej woni, kiedy jest ogrzane. Po smacznie przespanej nocy, obudziliśmy się rażni i do dalszych gotowi wycieczek. Dészcz ulewny zatrzymał nas pod dachem. Zjedliśmy na śniadanie kawał wędzonego łososia z chlebem i popiliśmy mlékem — dészcz nie ustawał aż w końcu niebo się wypogodziło a my podążyliśmy na spotkanie niedźwiedzia. Sądziłem iż wszyscy myśliwi zejda się w jedno miejsce na łowy — alem wkrótce poznał iż każdy włościanin urządził łowy w bliskości swego mieszkania. Zeszło się nas jednak kilkunastu rozmaicie uzbrojonych, w strzelby, pistolety, a nawet siekiery — stawiliśmy się ochoczo, ale niedźwiedzia... nie było. Widzieliśmy tylko parę krów zaduszonych przez niego, jedną zaś żywą lecz strasznie pokaleczoną zębami i pazurami tego zwierza. Na tém zakończyło się polowanie, wróciliśmy do Sandwíg w towarzystwie zasmuconych włościan, ludzi pysznie zbudowanych i na sześć stóp wysokich. Noszą oni ubiór z szafirowego sukna ze srebrnymi guzikami i mały okrągły kapelusik — taki jest strój mieszkańców całej prowincji Bergen.

Z niecierpliwością wyglądaliśmy stałej pogody ażeby zapuścić się wyżej ku stronie renniferów. Dotąd kilka dzikich kaczek było jedyną zdobyczą naszą. *Flad - Brod*, placki z jęczmiennój mąki, okrągłe a wiel-

kie na łokieć średnicy, których ogromne stopy wypiekają włościanie w górach — żytni chléb, solone ryby i mléko, nie wystarczały nam na pożywienie zwłaszcza po trudach podróży, nam synom zachodu przywykłym do mięsnych pokarmów. Każdy zatem ptak zabity spożywany był ze smakiem — ale rennów, zdawało nam się w naszej niecierpliwości, że już nigdy oczy nasze nie ujrzą. Jednakże wytrwale postępując ku północy, dotarliśmy do miasteczka Kanpanger nad zatoką tegoż nazwiska. Po ośmiogodzinném wiosłowaniu przewoźnicy nasi, nieodpoczywając prawie powrócili nazad do domów. Cóż to za lud niezmordowany! W ciągu tak męczącej pracy jedyném ich wytchnieniem był śpiew który zawodzili chórem. W miasteczku Amble mieszkał jegomość do którego mieliśmy list polecający. Zabraliśmy więc nasze manatki i poszli do jego domu. U drzwi saloniku zapukaliśmy razy kilka, żadnej nie dano nam odpowiedzi. Ale Shot mój pies, prędkiej sobie od nas zaradził; ujrzelismy go bowiem jak wesoło skakał obok jednej pani i dwóch panów, z któremi tak nagłą zabrał znajomość. My tymczasem oczekiwaliśmy nieśmiało na zaprosiny — wnet drzwi salonu się otwarły i uprzejmie powitani weszliśmy pod dach naszych nowych przyjaciół — wkrótce zasadzono nas do wieczerzy.

Wedle zwyczaju przyjętego w Norwegji o godzinie 6tej z rana przyszła do nas służąca niosąc kawę i sucharki. We trzy godzin potém zaproszeni byliśmy na sute śniadanie składające się z wędlin, kawy, herbaty, placków owsianych, żytniego chleba — na osobnym zaś półmisku stał ów sławny *gammeböst* — sér ugnojony, przysmak nader ceniony przez Norwegczyków; przysmak którego woń wypędziła mię później, ze wszystkich noclegów w soetersach, gdzie ten sér zawzięcie wyrabiają. W domach norweskich, kuchnia jest tuż obok jadalnego pokoju, co ułatwia pani domu posługę przy gościach. Sama ona odbiera filiżanki po kawie lub herbacie i natychmiast przynosi je napełnione po raz wtóry.

Nowi nasi znajomi pełni serca i uprzejmości, podobali nam się niezmiernie. Wesoło płynęły nam godziny w ich towarzystwie. Pani domu grała biegle na fortepia-

nie; miałem także przyjemność poznać tam sławnego autora powieści skandynawskich pana Dasent; dzieła jego tłumaczone są na angielski język. Nim dano do stołu, przyniesiono wina i ciast a goście pili kolejną zdrowie całego towarzystwa. O drugiej po południu, pani domu rzekła do nas: *Ver so god spise* (bądźcie łaskawi, pójsć na obiad) a my ochoczo pospieszyli do jadalnego pokoju. Podczas obiadu, krążyły gęste kielichy wina; obiad zakończył się wybornym puddingiem, który się doskonale udaje norweskim gospodyniom. Na wety podano maliny z mlekiem; owoc ten rośnie dziko w górach norweskich. Zakończyliśmy spełnieniem zdrowia całego towarzystwa, poczem jeden z gości kłaniając się gospodarzowi, rzekł: *Tak for Maden* (dziękuję za obiad) i wszyscy wstali od stołu, wpieryw złożywszy starannie serwety i odstawwszy krzesła do ściany. Potem następuje wzajemne uściśnienie rąk — dalej w salonie kawa, o 9tej zaś wieczorem wyborna wiecezra; taki jest tryb życia zamożniejszej klasy w Norwegji. Nazajutrz przypadała Niedziela. Ponieważ nierozumiemy języka norweskiego przeto nieposzliśmy do kościoła. Panującym tu wyznaniem jest luterskie. Wszakże w 1845 roku wszystkie chrześcijańskie wyznania zostały w Norwegji równouprawnione, a w 1851 r. przypuszczono żydów do równości praw. Tu podobnie jak w górach Szkocji lub w Karpatach, kościoły są zbyt odległe od chat i gór — lud przeto musi daleką odbyć pielgrzymkę gdy chce nabożeństwa wysłuchać. Już w 938 r. po Chr. Hakon król Norwegji przyjął wiarę chrześcijańską w Anglii gdzie był wychowany. Według jego rozkazu, pogańska uroczystość zimowa, zamienioną została na ucztę Bożego narodzenia. Święty Olaw w 1015 roku, zajął się gorliwie rozszerzeniem chrześcijańskiej wiary w Norwegji. Wkrótce jego poddani, przyzwali do rządów Kanuta Wgo, kr. duńskiego. Panowanie duńczyków powstrzymało na czas jakiś postęp Ewangelji, na półwyspie zachodnim Skandynawji. — Olaw zaś zabity za wiarę, jest dziś patronem swój ojczyzny. W parę dni pożegnaliśmy gościnny dach naszych nowych znajomych podążając ku zatoce Lyster-Fiord. W miasteczku Aurdal

stanęliśmy na poczcie, tam pocztmistrz udzielił nam wielu szczegółów co do polowania na renny. Powiadał nam iż w górach sąsiednich spotkamy liczne tych zwierząt stada. Iż nie dawno, jakiś włościanin, zastrzelił aż 4rech rennów, w ciągu jednego dnia; co jest nadzwyczajnym w tych łowach wypadkiem. Na takich pocztowych stacjach jak w Aurdal, podróżny znajduje zaraz i sklep dobrze zaopatrzonej w rozmaite towary. Są tam, suknie gotowe, broń, rękawice, kawa, herbata, bawełnice, tytuń, chustki perkalowe na których drukowane bitwy pod Inkermanem, Bałakławą i t. p. różnaitości, a wszystkie te wyroby udawane bywają za angielskie choć z niemieckich fabryk pochodzą. Najlepszym jednak wyrobem, zdały mi się wełniane pończochy z fabryk miejscowych — rzeczywiście są doskonałe. — Na drugim brzegu rzeczki uchodzącej do zatoki Lyster, wznosi się ogromny *Banta*, pomnik ułożony z kamieni, na cześć jakiegoś bohatera, z czasów pogańskich Norwegji. Przyglądaliśmy się także łowieniu łososia; rybołstwo równie jak polowanie należy tu do prywatnych osób. — Gdyśmy pomimo deszczu zziębli i utrudzeni przybyli do Nundal gdzie mieszkał zawołany strzelec rennów, z wielkim naszym żalem nie zastaliśmy go w domu. Spoczęliśmy jednak w ubogiej zakopconej chacie mającej jedno malutkie okno. Wkrótce na wieść naszego przybycia mnóstwo zgromadziło się włościan, kobiet, dzieci, mężczyzn. Otoczyli nas kołem, przyglądając się ciekawie nam i manatkom naszym, które z największym podziwieniem oglądali, otrzymawszy wprzód od nas pozwolenie. Wkrótce potem przybył strzelec, pan téj osady; był to wysoki jasno-włosy mężczyzna, ociężały i leniwy na pozór — a jednak on to sam, zastrzelił niedawno aż czterech rennów i słynął jako najbieglejszy myśliwy, w tych stronach. Uprosilśmy go żeby (za pewnym wynagrodzeniem) udał się z nami w góry, poczem najawwszy konia pod nasze pakunki, wzięwszy z sobą przewodników ruszyliśmy do miasteczka Lom. Miasteczko to, leży w bliskości góry Lomseggen która na wysokość 5,000 stóp wznosi się nad poziom morza, a prawie o 4,000 stóp wyższą powierzchnią miasta Lom. Szczyt

Lomseggen jest ścięty, ostry, nagiemi skały zwieńczony. Niższe jęj boki porośle brzezina i olchą, u jęj stóp płynie wązki lecz długi strumień, Otta Vand. Napasłszy oczy cudnym, okolicy widokiem, wsiedliśmy do wózka o dwóch kołach, lekko a mocno zbudowanego i pojechaliśmy do folwarku niejakiego Gräffera. Ten przywitał nas serdecznie nazywając po imieniu; uważałem że w Norwegji obyczaj ten we wszystkich upowszechniony stanach. Kobiety mówią mężczyznom po imieniu, słudzy panom. Wszakże nie zmniejsza to, winnego wiekowi lub stanowisku poważania. Owszem każdy tu jest uprzejmy, delikatny, szanujący w bliżnim godność człowieka. — U drzwi mieszkania spotkała nas żona Gräffera z flaszką wódki w ręku. Wódka licha, pędzona z kartofli, widzieliśmy jednak, że bardzo smakowała pocziwemu gospodarzowi. Pani domu chcąc nas zabawić, oprowadziła nas po swém domostwie. Widzieliśmy w jednej izbie ogromne stopy placków *fladbrod*; zapas na kilka miesięcy zimowych przysposobiony. Wielką liczbę kozich szynek uwędzonych (Spege kiöd), pełno worów ze zbożem i stopy baranich skór, używanych przez lud tutejszy na kołdry. Ciekawość zapędziła mię do piwnicy ale się ztamtąd szybko wycofał bo straszna woń Ost gammel (sera zgniętego) wypędziła mię natychmiast. Gospodyni zaprowadziła nas na pierwsze piętro i pokazała nam zapas sukien jeszcze po swych pradziadach. Były to fraki rozmaitej barwy, niektóre pąsowe, bogato haftowane. W innych skrzyniach schowane były srebra domowe także bardzo dawne oraz bielizna stołowa. Na tych srebrach spożyliśmy obiad, żelaznemi wprowadzie widelcami. Obiad składał się z jajecznicy, mięsa na zimno, malin z mlękiem i wódki. — Dziwiliśmy się że na Lomseggen nie ma wcale śniegu choć w Nundal, blisko Sogne-Fiörd o 3,000 stóp nad poziom bieleją ogromne śniegu płyty. Norwegczycy nazywają *field*, wyżyny, *plateaux*. Wyżyny takie są już po za sferą wszelkiej roślinności. W łańcuchu ogromnych gór zwanych Horongern, pełno jest skał ciemnych nie odzianych bielizną śniegu, lecz ostro odbijających się od błękitu obłoków i od śnieżnych powierzchni *fields* czyli wy-

żyn. Ta gra ciemnych barw i srebrzystych lodu blasków, promieni słońca i lazuru niebios; te połamane linje górskich okolic, nader ponętne są oku wędrowca. Najwyższym wierzchołkiem gór norweskich jest Galhøpiggen, sterczy on nad powierzchnią oceanu na 8,540 stóp ang. <sup>1)</sup> Zadziwiający jest miejscami koloryt stron tutejszych na wysokości 4,700 stóp. Lichen, zwany mchem renniferów, rosnąc po szarych gnejsowych skałach, nadaje miejscowości barwę, mieniącą się w żółto-zielone cienie. Zimą, drogi w tych stronach nadzwyczaj są trudne; 18 godzin iść trzeba żeby dojść do jakiego soetersu. Lat temu parę jak 12tu wieśniaków podróżujących w górach, zaskoczyła zamięć zimowa i wszyscy znaleźli grób w śnieżnych zaspach. Kiedyśmy wśród największego niebezpieczeństwa idąc po zsuwających się ciągle złomach skał doszli do Steensfly, ujrzeliśmy na piasku przy brzegu małego jeziora ślady renniferów. Tu właśnie zaczynały się skaliste pola zwane *Ures* przez krajowców, pola niebezpieczne do przebywania lecz bardzo miłe dla myśliwców jako jedyne teraz schronienie rennów. Mimo jednak najlepszych zamiarów nie upolować nie mogliśmy, bo renny pozmykały. Z niesłychanym trudem skacząc z kamienia na kamień, ześlizgując się po bokach większych skał, dotarliśmy na powrót w strony jakiejś takiej roślinności. Głodni i spragnieni, łakomie rzuciliśmy się na jagody rosnące dziko i zdumieni byliśmy tém wielce, iż ten lichy posiłek, tak nas bardzo pożywił. O! mądry to gospodarz który mech i jagody rozesał pod skaliste góry czoła. On chciał aby życie wszędzie pokrzepić się częms miało. On wie że tam dojdzie zwierz, doleci ptak który nie sieje ani orze i dla nich przygotował spiżarnię. Nas już w soetersie czekały zapasy. Zbliżając się do soetersu ujrzeliśmy trzy duże czerwone plamy na ziemi i zdziwieni podeszliśmy zwolna pytając się wzajemnie: co to być może? Jeden z obecnych tam wieśniaków rozwiązał tę zagadkę, przynosząc głowę renna w przepyszne wieńczoną rogi, trzy zaś owe plamy były to skóry ze świe-

<sup>1)</sup> Wysokość Łomnicy w Karpatach wynosi stóp 8,316 późniejsi jednak geografowie dowodzą iż Łomnica ma do 10,000 stóp wysokości. J. J.

żo odartych rennów. Ciekawi byliśmy co za szczęśliwiec dokonał tych łowów; powiedziano nam iż stary Joh poszedł wczora do Giendin Söen łowić ryby. Lecz jeszcze niedoszedł do rzeczki gdy towarzysze jego ujrzeli trzech rennów. Wieśniacy norwegscy chodzą prawie zawsze uzbrojeni. Trzy usłyszano strzały i trzech pysznych kozłów

padło po każdym. W chacie zastałem starego Joh i towarzyszy jego zajętych ćwiertowaniem zwierzyny która miała się solić i wędzić, norwegczycy bowiem nadzwyczaj lubią wędzone mięso. Skończywszy robotę stary Joh stanął zadumany.

— Co tobie przyjacielu, zapytałem, widzę iż coś masz na sercu.

— Czyś pan zapomniał że

kilka dni temu, dostałem od pana karabinową kulę? odpowiedział.

— Pamiętam, no i cóż?

— Powiedziałem panu wtedy że pierwszy renn którego zastrzele, padnie od tej kuli. Widzi pan że dotrzymał słowa. I pokazał mi tę kulę; kto wie, czy nie z głębokiem przekonaniem że zaczarowana.

Dnia następnego wyruszyliśmy o świcie na łowy. Słońce podnosiło się zwolna po nad ślizkie gór czoła. Zielonawa jeziora

Giendin powierzchnia błyszcząca u stóp naszych w ciemnych skał wieńcu. Ledwieśmy jednak rzucili okiem na te cuda gdyż całą uwagę naszą zwróciły cztery cienie na jasnym widnokregu. — Co to jest? — To renny! Renny pasące się spokojnie gdzieś niedziedzie wyrastającymi źdźbłami trawy. Obejrzeliśmy ostrożnie stanowisko przyszlęj

z dobyczy i dalej w pochód. Powietrze było nadzwyczaj spokojne; my, pelzając prawie, oczy mieliśmy wlepione w zwierz. Cicho podniosły się piękne ich głowy, a my przypadli ku ziemi. Znać jednak że naszego sąsiedztwa niezwytrzyły, gdyż znowu zaczyna ją skubać trawkę, więc i my suniemy zwolna coraz bliżej renniferów; drżemy z obawy żeby łoskot spadających



Polowanie na Renny.

kamyków nie spłoszył zwierz... już nakoniec jesteśmy blisko, już każdy za broń chwytata... podnosimy oczy, wychylamy głowę po za skalistą ścianę — zwierz zniknął — a nam się zdawać zaczyna iż te cztery pasące się rogacze, to była tylko mara, własnej naszej wyobraźni utwór. A jednak widzieliśmy ich — widzieli wszyscy, jak pasły się tu na tej oto skale i już ich nie ma. Trzy razy jeszcze dni następnych los przeciwny, takie nam płał figle. Pewnego dnia spo-

tkaliśmy całe stado skaczące przez miejsca tak niedostępne iż zdawało się nam że żaden twór żywy, dojsć tam nie może; cóż dopiero, taki ogromny zwierz jak rennifer. Aż nakoniec po wielu trudach i przy ciągłym czuwaniu udało mi się upolować ślicznego rogacza. Zsunął się na dół; Piotr mój towarzysz pobiegł po mą zdobycz; ujrzał jednak że ma współzawodnika — był to kruk czyhający już na część łupu. Odarliśmy renna ze skóry, ozór schowali na obiad, mózg miał służyć na potrawę z wielkim oburzeniem Piotra, który nam oświadczył że nikt porządny, mózgu zwierzęcego nie jada. Mięso zaś, ukryliśmy w *Urach* pod kamieniami, bojąc się aby go drapieżne ptaki nie rozerwały co nieraz myśliwym się zdarzało, gdy źle ukryli zwierzyinę której dla trudnych dróg, odrazu zabrać nie mogli.

Kończyła się też pora letnia, pobyt w górach stawał się niebezpieczny z powodu bliższej zimy, pożegnałem więc piękne okolice Giendina a przypatrzawszy się ślicznej rzece Rus Vand, rzece z której dna piramidy skał wyrastają, (rzeki tej widok przypomina wody Dunajca wśród Pionin płynącego), udałem się do Chrystjanji, ztamtąd zaś do Anglii.

Z mojego w Norwegji pobytu wyniosłem to przekonanie że te same przyczyny, te same rodzą skutki. Górale europejscy wszędzie prawie mają tę samą prostotę, zwinność, odwagę, gościnność a nawet sposób żywienia się. Raz częstowała mię góralka, przysmakiem zwanym u nich Gröd; jest to potrawa z mąki owsianej, w ukropie rozparzonej <sup>1)</sup>. Jada się z kwaśnym mlekiem, podobną acz trochę smaczniejszą lemieszką żywią się szkoccy górale, nazywając potrawę tę: *porridge*.

Uważałem także iż Norwegczycy dają bydłu za napój odwar z gałązek jałowco-

wych; odwar ten ma być nader zdrów i pożywny dla bydła. Po wydojeniu krowy gospodyni podaje jej garść soli, a potem z lekka swą krówkę uderza. Krowa po takim uderzeniu, wie że wolno jej odejść do gromady, którą pognają na paszę. Powiadano mi że ugotowane gałązki jałowcu, było ze smakiem jada. Droga moja do Chrystjanji była dla mnie nową, nie jeździłem jeszcze tędy. Kiedyśmy przyjechali do mostu na Logen Elv, myślałem że go nie przebedziemy cało. Most bowiem złożony był z pni drzewnych, przez rzekę bardzo szeroką, szczególnie ułożonych; przebyliśmy go jednak bezpiecznie i wjechali na szeroki gościniec, leżący między Chrystyanją a miastem Drontheim. Na tej to drodze wpadł w zasadzkę pułkownik Sinclair, przywozzący 900 Szkotom, gdy przybył w pomoc Gustawowi Adolfowi podczas wojny z Krystjernem IVm kr. Danji. Zwycięstwo przeważyli na stronę Duńczyka włóścianie norwegscy. Przytoczyli oni ogromne złomy skał i pnie drzew, w to miejsce któredy szkoci przechodzić mieli i ze strasznemi okrzyki, staczali je na biednych szkotów. Tych których nierozmiażdżyły kamienie i kloce dobił miecz zwycięzców. Wiadomo iż Norwegja była podówczas posiadłością <sup>1)</sup> Danji. — Od miasteczka Eidsvold aż do Chrystjanji, jest kolej żelazna dotąd jedyna w Norwegji, wkrótce stanęliśmy w stolicy tego kraju lecz miasto lubo 40,000 mieszkańców liczące, czyste i z szerokimi ulicami, nie zajęło mię wcale. Kazałem sprowadzić *droski*, tak nazywają w Chrystjanji fjakry i pojechałem do hotelu angielskiego, a wypocząwszy, zwiedziłem gabinet zoologiczny. I tu jednak nic nadzwyczajnego nie zobaczyłem. Przepędziwszy parę dni w Chrystjanji, wsiałem na parowiec a wkrótce oczyste brzegi Humberu, serce i oczy me rozradowały.

J. Janiszewska.

## O UMIEJĘTNÉM SPOŻYTKOWANIU WSZYSTKIEGO NA POŻYWIE NIE W CHINACH.

„Gdy jakie społeczeństwo wzrasta w stronach urodzajnych (powiada książka Le Noir) którego tu spostrzeżenia przytaczamy) i skoro ludność nie rozrosła się do tego

<sup>1)</sup> Ten sam przysmak jadyliśmy w Karpatach, jest to *kulasa*.

(Pra. aut.)

<sup>1)</sup> Dopiero od roku 1815go to jest od kongresu wiedeńskiego Norwegja należy do Szwecji.

stopnia, żeby wzniecić obawy o dostatek żywienia, społeczność owa ulega różnym uprzedzeniom i wstrętom niczém nie usprawiedliwionym. To właśnie się dzieje w Europie, gdzie narody stosunkowo do Azjatyckich są młode. I tak np. uczeni napróżno nam dowodzą, że mięso konia jest wyborne, jednak nie weszło u nas w używanie. Wolimy wycieńczać te zwierzęta pracą, aż do ich lat ostatnich, niż tuczyć ich jak woły na pokarm.

Lecz tam gdzie rozwój życia jest powolny, bez wstrząśnień, któreby ludność niszczyły, instynkt zachowawczy mass, doznaje pewnych niewyraźnych obaw, czy zawsze i dla wszystkich wystarczy pożywienia i dla tego nie chcąc nic tracić, przyzwyczajają się jeść wszystko co może być jedzonem. Cywilizacja chińska rozwija się prawie od sześciu tysięcy lat, z właściwem sobie piętnem pozornie niedostrzeżonego, a jednak ciągłego postępu. Rolnictwo tam doszło do takiego wydoskonalenia, że podobno żadna okolica na kuli ziemskiej, nie może się mierzyć z Chinami co do obfitości rolnych produktów, jednakże z powodu ogromnej ludności, zdarzają się tam najstraszniejsze klęski głodu, sprzątające ofiary tysiącami. Chińczyk więc dawno uznał potrzebę nie marnowania niczego coby się zjeść dało; przewyciężył wstręt i wszystkiego skosztował. Lud używał najprzód pokarmu, którym jeszcze gardzili bogatsi i wprowadził pod tym względem postęp zrodzony z potrzeby. O tém Europejczycy dowiedzieli się dopiero po ostatnich wyprawach do Chin i Kochinchiny. Nadesłano do generała francuzkiego Morin, różne próbki nieznanych pokarmów, z nich więc niektóre można oglądać przechowane w konserwatorium paryżkiem.

Mięso psa uchodzi w Europie za najgorsze, a nawet za niezdatne do jedzenia. Inne jest zdanie Chińczyków; oni tuczają starzejące się psy na pożywienie dla ludzi; rolnicy wychowują starannie pewien gatunek psa zwany przez nich *jatkowym*, który ma uszy do góry sterzące, język zaś, podniebienie i całe wnętrze pyska czarne.

Jeden z takich psów znajduje się obecnie we Francji. Nabyty wraz z innymi zwierzętami mającemi służyć na pożywie-

nie, przez okręt francuzki odpływający z Kochinchiny, wyzwolony był od śmierci przez majtków, którzy go przywieźli do jednego z francuzkich portów, gdzie został ulubieńcem wszystkich marynarzy.

W niektórych restauracjach wielkich miast francuzkich umieją przyprawić w potrawie kota za królika, lecz Chińczycy nie bawią się w tajemnice tego rodzaju, u nich bowiem między innymi prowiantami wystawione są na sprzedaż ogromne koty, już odarte ze skóry, lecz z pozostawionym ogonem i głową. Po folwarkach trzymają je na łańcuszkach, żeby brak ruchu ułatwiał ich utuczenie i rzucają im resztki ryżu, które bez tego byłyby stracone.

Szczur zajmuje także znakomite miejsce wśród pokarmów chińskich. Jedzą go tak jak poprzednie mięsa, świeżego lub solonego. Po folwarkach obmyślono nawet sposób licznego wychowywania tego zwierzęcia już i tak množnego; stawiają rodzaje *szczurników* tak jak my mamy gołębniki. Wśród ścian z cegły, mieszczą szeregi butelek z szerokimi otworami, wmurowanych tak, że naśladują szczeliny po których szczury gnieździć się lubią. W każdej takiej butelce wzrasta szybko nowa rodzina, a właściciel od czasu do czasu może z łatwością obliczyć swój inwentarz.

W Europie jadają po niektórych miejscach udka żabie, lecz Chińczycy nic z całego gadu nie tracą i patroszą go tylko jak my małe ptaszki. Utrzymując zaś, że to co ma być jedzonem powinno się sądzić według smaku, a nie według powierzchowności, Chińczycy skosztowali ropuchę i znajdując że wcale nie zła, policzyli do przedmiotów pożywienia. Najobrzydliwsza zatem ropucha nie zmarnuje się w Chinach. Trzeba też wyznać, że sposób w jaki tam kucharze przyrządzają potrawy, wszelkie wstręty usuwa. Zwierzęta całe, lub poćwiertowane przechodzą najprzód przez czynność pieczenia, dokonywaną w Chinach, ze sławną na cały świat zręcznością, następnie siekają się na plasterki lub kawałki mniejsze czy większe i w taki sposób bywają na stół podawane, z sosem według smaku narodowego; przytém pożywa się ryż jak chleb u nas. Na stołach bogaczy zastawiają po trzydzieści i czterdzieści takich siekanek, któ-

re się tylko smakiem różnią, a nie każdy domyśleć się może co je. Obiad zaczyna się smażonemi w cukrze owocami, a kończy ryżem.

Europejczycy jedzą prawie wszystkie skorupiaki wód słonych, chińczycy zaś oprócz nich pożywają jeszcze te które się ze słodkich wód wydobywają. Mają rodzaj olbrzymiego ślimaka (*voluta melo*) który jest ich ulubioną potrawą. Pod tym jednakże względem można uważać postęp i w Europie, nie tylko bowiem że się już różne gatunki ślimaków pojawiają na naszych stołach, ale jedzą się nawet ryby morskie, które dawniej były zupełnie wzgardzone.

Australczycy zjadają surowe zwierozkrzewy galaretowate i lepkie, które morze na ich brzegi wyrzuca, lecz mieszkańcy Chin jedzą je jako ludzie ucywilizowani i mają sposoby przyrządzania z nich zupełnie smacznych. W ogóle lubią oni pokarmy galaretowate i chrząstkowate. Suszą skrzela i pletwy różnych ryb na pożywienie i takie okazy znajdują się właśnie pomiędzy wyżej wspomnianemi, które generałowi Morin przysłano na próbę. Są tam także zasuszone małe rybki złowione za pomocą wychowywanych na ten cel kormoranów. Rybacy z chińskich wybrzeży, wynaleźli sposób posiłkowania się tym wielkim czarnym ptakiem i cieszą się nie raz bardzo znacznym połowem. Wychowują oni kormorany z nawleczonym na szyję pierścieniem, który im tak ścisną gardziel, że nie mogą przełknąć większych pokarmów. Kilka takich ptaków zabiera rybak na swój statek i odpłynawszy od brzegu puszcza ich na polowanie. Kormorany zanurzają się, chwytają ryby, lecz nie mogąc ich pochlonać, wracają do statku, żeby być oswobodzonymi z przedmiotu, który ich dławi. Wtedy ludzie wyciągają ryby z ich dziobu.

Z pajaków nawet umieją Chińczycy wykwiłtnie przyrządzać potrawy, a poczwarki i gąsienice różnych owadów są zwyczajnym ogółu pokarmem. Jedwabników wychowują daleko więcej niż mają morw na ich utrzymanie, albowiem to wszystko co nie może być wyżywionem, ludzie zjadają. Nawet owad uduszony w kokonach dla ich zwinięcia w motki, zmarnowany tam nie jest; gotują z niego dosyć lubioną po-

trawę, której smak jeden z oficerów francuzkiej marynarki przyrównał do pieczonych kasztanów.

Co się tycze robaków ziemnych, te nie używają sławy smaczności, jedzą je też tylko ubodzy w czasie głodu. Tu należy także nadmienić, że Chińczycy cenią smak jaj zalężonych i że je jedzą solone lub na świeżo ugotowane.

Do zbytowych pokarmów należą gniazda salangany. Jest to jaskółka żyjąca na morskich wybrzeżach Chin, tudzież na wyspach Oceanji, na Moluckich i na Jawie. Liczne krążyły bajki o sposobie i materjale z jakiego ten ptak wyrabia swoje pożywne dla ludzi gniazda. Jedni twierdzą że to z jakichś materji rybich przerobionych w jego dzióbku ze śliną, drudzy że zbiera części galaretowate z wodorostów pozostałych na wybrzeżach morskich w czasie odpływu. Rzeczywistością zaś jest, że cała część jadalna gniazda salangany, jest produktem zwierzęcym wyjątkowego gatunku; wydzieła go ze swego dzioba sam ptak w czasie mnożenia się. Badając pilnie budowę wewnętrzną gniazda przyczepionego zwykle do skały w kształcie białej półkuli, można dostrzedz, że się składa z pewnego rodzaju włókien, poczepianych razem i ztądby należało wnosić, że je jaskółka snuje na podobieństwo jedwabnika. Skoro takie gniazdo zwykle bardzo twarde gotuje się przez dwie godziny w wodzie, pozostają z niego jakby drobne niteczki, woda zaś przybiera kolor ciemnego, mocnego, rosółu wołowego, zawiera w sobie dziewięć na sto części azotu i jest pożywnym oraz wzmacniającym pokarmem, ma jednak zapach dziwny dla europejskiego podniebienia. W Chinach cena takiej zupy na jedną osobę oblicza się na dwadzieścia i parę naszych złotych. W Paryżu zaś kilku łakotniów co ją jedli, kosztowała 120 franków. To też wynalezienie szczelin w skałach, w których licznie gnieźdzą się salangany, znaczy tyle co znalezienie skarbu. Można bowiem zarobić miliony. Jaskółki te przyczepiają swe gniazda jedne do drugich, tak że ich czasem bywa po sześć, ośm, dziesięć, których w żaden sposób rozłączyć nie można. Zewnątrz mają zwykle powłokę, z cienkich żółtych korzonków, we-



wnątrz wyściela je ostatecznie ptak własnym pierzem, dla osłonięcia swego potomstwa. W handlu nazywają się *czystemi* tylko te, które po obmyciu są zupełnie białe i te też są najbardziej cenione. Gdy zaś ptak doznaje przeszkód w budowaniu gniazda, gdy mu je nieprzyjaciele zniszczą i powtórnie robotę zaczynać musi, wtedy już nie jest w stanie wysnuć z siebie dostatek potrzebnego materiału i używa go tylko jako cementu do zlepiania mchów i porostów morskich nad brzegami zebranych. Takie nieczyste gniazda sprzedają się taniej i więcej ich też na taką samą ilość wody potrzeba.

Tu należy jeszcze wspomnieć o produkcie chińskim, dopiero od dwóch lat we Francji poznanym pod nazwą *mchu chińskiego*.

Nazwa to jednak fałszywa, przedmiot ten bowiem jest pewnym rodzajem kleju, otrzymanym z wygotowania wodorostu zwanego *gelidium corneum*, a zdaje się że są i inne morskie rośliny z których można podobny klej otrzymać. Różni on się od rybiego, który dotąd używano do potraw, że jest przynajmniej dziesięć razy cięższy. Kawałek rozpuszczony za pomocą gotowania w wodzie mającej pięć razy jego wagę, daje galaretę, niezmiernie przezroczystą i bez żadnego smaku, skutkiem tego właśnie że w wielkiej ilości wody rozproszony został. Wygląda jak woda zsiadła i ztąd okazuje się lepszym do wykwintnych potraw, niż używany dotąd klej rybi, a może też i na inne przyda się użytki.

## KORRESPONDENCJA.

Paryż 12 Marca 1863.

Jesteśmy w połowie postu, a będziemy da Bóg, po Wielkanocy, kiedy wyrazi listu mego, druk odbije. Taka jest niedogodność dla korespondentów do pism co miesiąc wydawanych, iż to co napiszą nowego, na razie pochwyconego, staje się dawnym po wydrukowaniu. Czyż dla tego niepisać? albo pisać to, z czem się odzywają korespondentki pism francuzkich: *nie nie wiemy nowego*. Ja tego powiedzieć nie mogę; nowego jest dosyć: choćby tych starych a nieprzewidzianych nowostek, że świat.... mi mo postu, mimo dni pokuty, mimo epoki postępu o której tak szeroko mówią moralści i filozofowie, nie się nie poprawił, nie się nie upamiętał, nie udoskonalił się *w niczem*. Wyście się spodziewali że wiek XIXty, przyniesie wam jakieś cudne a niesłychane w przeszłości przykłady cnót, poświęceń, zadosyć uczynienia? Takby wypadło dla starych grzeszników, po długich latach pychy, zarozumienia — chciwości. To byłoby dla was przewidziane, więc nie zajmujące. Otóż ja wam powiadam rzecz nową a ciekawą; dzisiejsi grzesznicy, nie chcą, nie mogą i nie umieją upamiętać się wcale. A te

pozyciwe francuzki piszą: że nic nowego nie ma! Jakby to nie był nowy przewrót ludzkiej natury, zatwardziałość w grzechach uznanych i wyznanych, tego nigdy nie bywało dawniej.

Oprócz tego chodząc po ulicach Paryża spotykam na wszystkich prawie sklepach napis: *Nouveautés*, nowości. I pstrzy się przed memi oraz innych przechodniów oczyma, tysiąc barwnych tkanin, w najponętniejszy ułożonych sposób. Lekkie kolorowe materyjki jedwabne, prawdziwie za bezcen — liche i drogie wełniane tkaniny bo tu one droższe i gorsze są niż w innych krajach — drobnostek nieużytecznych tysięcy, kapeluszy letnich mnóstwo, słowem wszystko nowe i świetne na nową roku porę — lubo dostojna i wszechwładna pani, *moda*, jeszcze się wyraźnie oświadczyć nie raczyła, czy spódnice będą długie a staniki krótkie lub na odwrót i dopiero koło Kwietnia po Wielkanocy, wyroki stanowczo objawi.

Jest jeszcze jedna nowość: w średnich wiekach mianowicie we włoskich wszechnicach, kobiety jak n. p. Laura Bassi i mnóstwo innych, wykładały rozmaite nauki,

dla męzkich nawet słuchaczy. Dziś, ponieważ na wykładach profesorów w Sorbonnie, tłumy kobiet przeszkadzały chciwym nauki mężczyznom, nie wolno od lat kilku do Sorbonny uczęszczać kobietom. Ale galanterja francuzka chciała zapobiedz temu; kilku przeto znakomitszych profesorów, chciało rozpocząć wykład przystępny dla kobiet, dzienniki (a więc opinja) osądziły że wystarczy kobietom wykładu kobiecego i panna \*\*\* w *Quai Malaquais*, co Czwartki, oświecać tam raczy swe współrodaczki. Co im tam prawi, nie wiem — jak pójdę i posłucham, to wam doniosę — ale dla czegoż francuzom się zdaje, że mężczyźni są za rozumni do nauczania kobiet? Prawda iż francuzki obok tysiąca zalet nie celują umiejętnością... czy w tém powód aby je ograniczonemi zostawić? Piszą na nie satyr tysiące, nazywają je *lalkami* za to że zbyt w strojach i w sobie zakochane, ale niech się mężczyźni w piersi uderzą i choć raz w życiu do grzechu się przyznają. Stroje kobiet, próżność kobiet, ich to dzieło i wina. Między strojną a niestrojną, mężczyzna pierwszą wybierze choćby druga łączyła w sobie wszystkie cnoty Kornelji, Poreji i mądrych pisma Śgo niewiast. Między płochą a stateczną, mężczyzna płochę przyzna pierwszeństwo — jeden tylko posag, szalę na inną stronę przeważa, taka jest natura męzka, tak więc dobrze być *musi*, ale po cóż chłostać biedne kobiety za nie ich, ale męzkie winy.

Karnawał zmienił nazwę i nazywa się półpoście. To znaczy: epoka świetnych koncertów i widowisk. Teraz w samę Środę postu, igrzyska ludowe pojawiają się na ulicach; dwór da kilka balów, a ludek ubogi i możniejszy, ciągle bierze śluby; jak dla was, wszak i to *nowe*? Prawda że na południu Francji obyczaje kościoła, są takie jak u nas, lecz tu dziwne doprawdy czasami. Żebyście jednak nie bardzo byli zgorzzeni, muszę wam powiedzieć że przez post, ojciec Feliks miewał co Niedziela nauki w St. Philippe - du - Roule, a ojciec Gratry konferencje naukowe w St. Etienne - du - Mont. Jeden i drugi słyną z wymowy i cnoty. Owe jednak ojca Gratry konferencje, z powodu szczupłości kaplicy, są nieprzystępne dla kobiet. Mężczyźni wolny mają

wstęp na nie; kobiety jedynie za biletami — dla czego? konferencje są *naukowe*, ojciec Gratry stosuje naukę do wiary. Kobiety wierzą choć mało umieją — mężczyźni... często nie umieją więcej, ale — nie wierzą, a więc dla nich te konferencje. Zeszłej Niedzieli ojciec Gratry mówił o psychologii i filozofji, przyczem wyrzekł, że Francja o dwa wieki cofnęła się co do postępu i wiecie co ją cofnęło? — oto, ten dym... narkotyczny, który z ust waszych wychodzi, — oto tytuń. Rozśmieli się słuchacze: — nie śmiecie się panowie, rzekł mówca, to rzeczy ważne, *c'est sérieux*. Musi mieć on słuszność, że Francja zacofana; jest albowiem świętobliwym, światłym, a chrześcijańskiej miłości pełnym mężem. Nie rozpaczajmy jednak nad Francją, ma ona cnotę i wiary i gorącości serca tyle, że to samo już ją w danym czasie posunie i zbawi. Poznałam teraz pana S. młodego pisarza który z wielkim talentem pisuje do rozmaitych dzienników. Jakaż to serdeczna wiara! jaka miłość bliźniego, co za niezmordowana pracowitość! mimo zajęć swoich człowiek ten, ojciec rodziny, adwokat, dziennikarz ma czas bywać co tydzień u spowiedzi, a widuję to na własne oczy. Z wielką pociechą i rozrywką moją zdarzyło mi się w domu pani Fo: francuzki, poznać autorkę wielu utworów obyczajowych i moralnych panią H., która pisze pod imieniem Jana L. Czytałam kilka powiastek téj pani, podobały mi się dosyć; pragnęłam zapoznać się z nią i nad spodziewanie moje przybyłam do państwa F. wtedy, kiedy pani H. w pierwsze przyszła odwiedziny. Żywa, młoda, brzydka, lecz do wciężna i prostego układu, ładnie choć bez wielkich wymysłów i dodatków ubrana, połączona związkim małżeńskim, z człowiekiem którego jedni mają za warjata, drudzy zaś najwyższą genjalność mu przyznają, a którego pisma niekiedy górnolotne często jednak pełne rozumu i głębokiego poglądu na świat i ludzi. Chlubna tym mężem, wierząca w jego rozum, bawiła wbrew etykiecie całą godzinę i choć nas było kilka osób w salonie, przez całą godzinę rozprawiała sama. Opowiedziała nam dla czego wzięła się do pióra. — Kocham rodaczki moje, rzekła i dla tego że je kocham, wy-

powiedziała im straszną walkę za ich obyczaje. U nas nie ma kobiet, nie ma córek, matek, żon, babek, są tylko istoty strojem i zabawą zajęte, ciemne, mało co umiejące — prócz szczegółów stroju dotyczących. Naród nasz *nie ma dziś charakteru*, lecz winny temu kobiety. Dzieci swe kochają, bałwochwalczą miłością i wychowują też je — *na balwanki*. Mąż nigdy pierwszego miejsca nie trzyma w domu i sercu żony. Dobroczynność, przyjaźń, uczoność nawet naszych francuzek, to wszystko — kokieterja.

Mnie aż serce zabolalo, kiedym usłyszała tę straszną spowiedź francuzki o jej współrodaczkach i lubo zgadzam się z panią H. co do ciemnoty w ogóle kobiet tujszych, przecie gdym przebiegła myślą kilka znajomych mi bliżej rodzin francuzkich, wyznać musiałam w duszy, że cnót domowych i chrześcijańskich, kobietom tujszym nie braknie, dzięki Bogu! A jeżeli naród nie ma charakteru lubo ma dużo serca i zapału, duch czasu temu winien; szkoły, kamaraderja, życie publiczne, ale nie kobiety, o nie!

Daliej opowiadała pani H. swoje kłopoty literackie, jaką to ona ma biedę z wydawcami, wydają zaś jej powieści, muszą więc być czytane i pokupne. Otóż jeden wydawca nie życzy sobie aby jej bohaterka się *topiła* w rzece. A to dla czego? pyta pani H. — Bo to nie moralne dla kobiety samobójstwo, odpowiada księgarz.

— Nie mój panie, utopić się ona musi bo tak potrzeba, odzywa się autorka. — Drugi zaś życzy sobie żeby bohater powieści, zamiast dwóch dni, dwa tygodnie bawił w Bordeaux — Z jakiego powodu? zapytuje autorka — Bo możnaby przy tej sposobności opisać Bordeaux i jego zakłady. — Wybacz pan, mówi pani H., jemu tylko dwa dni bawić tam wypada — i pozostaje przy swoim.

Uważajcie że rozmowa między wydawcą i autorką odbywa się na piśmie, z Paryża do Passy, a może zrozumiecie ile to czasu i wydatku straconego, tylko po to żeby Jan bawił dwa tygodnie w Bordeaux, a Zofja nie została utopioną, co powieści ani dodaje ani umniejsza literackiej wartości. Są też tu pewne dzienniki, w których pod żadnym względem nie wolno używać niektórych

zwrotów lub wyrazów. Wyrazy: *certitude*, (pewność) *sommet* (szczyt, wierzchołek), są ze słownika dzienników owych wygnane. Pisarze tedy muszą mieć pewną wyrobioną już *manierę*, żeby tam swe artykuły zamieszczać; mówię wam te rzeczy jako świadoma, gdyż w domu państwa F. kilku dziennikarzy poznałam.

Z wczorajszej jednak z panią H. znajomości, po wysłuchaniu jej ostrego sądu o kobietach, a nawet dziełach kobiecych, dziełach które na mój lichy sąd, bardzo moralne i pobożne się wydawały, a mimo to, ostrzej pani H. nie uszły przygany, ten wyprowadziłam wniosek: że Jerzy Sand zna dobrze kobiety swego kraju. Wolę towarzystwo mężkie (mówi Jerzy Sand) niż kobiece, męczyzna przynosi w towarzystwo zasób wiadomości, dobrej wiary, serdeczności i prostoty — jest tu mowa o kółku przyjacielskiem i poufnym. Kobieta albo nie umie, a więc rozmawia tylko o przymiotach swoich dzieci, wadach swjej kucharki, kroju swjej sukni, lub grzechach sąsiadek, albo jeżeli ukształcona, *wyższa* niby umysłem, to się tak ceni ogromnie, tak *z góry* na resztę śmiertelników spogląda, że... „nie przystępuj bez kija.“

Lekceważenie rodzaju żeńskiego w pani H. przypomniało mi tę uwagę znakomitęj pisarki. Widziałam niestety! gdzieindziej to samo lekceważenie drugich niewiast u kobiet tak zwanych *wyższych*. I nigdy w mej głowie nie mogło się pomieścić dla czego by takie świetne dary boże jak mądrość i umiejętność, wykluczać miały najlepszy dar z darów Ducha Śgo, miłość chrześcijańską? Wejście jednak w kółko rozumnych kobiet i *przeuczonych* wyrostków lub dorosłych. Ten, głupiec; ta, gaska; tamten człowiek płytkich pomysłów bo się filozofji niemieckiej nie uczył — ów, prostak bo źle mówi po francuzku lub niezgrabnie tańczy. O! ludzie pewni siebie i swoich talentów, odrobinę miłosierdzia chrześcijańskiego, ludzkości miejcie odrobinę! bo to jest mądrość mądrości. — Kiedy już mowa o pisarzach, słusznie żeby też wam coś nadmienić o dziełach. Utworem który w tych czasach najwięcej narobił hałasu jeżeli nie wrażenia jest: Salammbó. Pan Gustaw Flaubert, autor jakiegóś bardzo nie

moralnej powieści, Madame Bovary, wystąpił z romanssem archeologicznym Salamambo. Niegdyś Wenus babilońska czczona potem w Kartaginie i w Iberji nosiła to miano. Za czasów Djoklecjana żyły w Sewilli dwie siostry chrześcijanki przedają glinianych naczyń się trudniące — siostry te, Rufina i Justa nie chciały dać wazonów na kwiaty, przed posąg Salamambo i za to umęczone zostały. Biskup Salwinus zebrał święte męczennic szczątki, a Sewilla uroczyście święto ich obchodzi. Nie ta wszakże jest treść dzieła pana G. Flaubert. Salamambo, siostra Annibala, poganka, przechodzi rozmaite koleje; kochana jest lecz nie kocha, owszem staje się przyczyną śmierci w płomieniach swego wielbiciela i dopiero kiedy widzi że on zgorzał na stosie, rozplamienia się sama affektem rozpaczy, miłości, żalu i umiera. Nie idzie też o uczucie w tej powieści. Materjałów do niej dostarczali: Ammian Marcellin, Dyodor Sycylijski i Florus (dwaj ostatni współcześni

Augusta cesarza) szło więc o odbudowanie przeszłości Kartaginy, jej świątyń, zwyczajów, obrzędów i dla tego pojawiła się Salamambo. Co krytyk uczonych a surowych to pełne erudycji dzieło, wywołało u tutejszych erudytych; co rozpraw i odpisów autora, o imię tego lub owego bóstwa starożytności, o wielkość jaspisowej czy szmaragdowej kolumny w świątyni Jowisza, o ubiory, sposób życia kartagińczyków i t. d. i t. d. — wiem tylko ja, bom to z wielką pociechą czytała. Nawet Charivari wdał się w polemikę i czytelnikom swoim przepisuje na umartwienie ducha w post, co dzień, po jednej stronnicy Salamambo — więcej (powiada) nie wytrzymałby najsilniejszy organizm. Ten utwór i *le fils de Giboyer* oraz *les Ganaches*, obie komedje zastereotypowane w teatrze francuzkim i w Gymnase, są najwyższym objawem dzisiejszego życia literackiego we Francji. O broszurach wam nie nadmieniam, bo ich liczby nie spisałabym na wołowej skórze.

J. Janiszewska.

## POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

— Nie wiesz kochany Karolu, rzekł zniżając głos pan Lorry, jak zawikłany jest stan naszych interesów i jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża naszym księgom i papierom, które znajdują się w Paryżu. Bóg sam wie tylko, jak złe mogłyby wynikać następstwa, gdyby dom Tellsona w Paryżu uległ grabieży lub spaleniu; nie ma więc ani chwili czasu do stracenia, należy jechać czémprędzej do Paryża ażeby wywieźć ztamtąd lub ukryć najważniejsze papiery, a któż się podejmie spełnienia tego obowiązku, jeżeli się będę od niego ja wymawiać, który już od lat sześćdziesięciu jadłem chleb domu Tellsona. Jestem stary latami mój panie, ale czuję w sobie młodzięcą siłę, gdy mi udać się wypada tam, dokąd mię powinność wzywa.

— Podziwiam w tobie ten zapał młodzińczy, panie Lorry.

— Ciszéj mówmy Karolu! niewierzysz jak groźne nastały teraz czasy; nasi ajenci

w Paryżu którym poleciliśmy wywieźć pewne ważniejsze papiery, o mało co nie przyplacili tego życiem.

— Więc zamysłasz pan wyjechać dzisiejszej nocy?

— Tak, jadę dzisiejszej nocy, bo interes nie cierpi żadnej odwołki.

— Czy nikogo nie wezmiesz pan z sobą?

— Wezmę tylko jednego Jerzego z sobą, bo o jego wierności przekonałem się już nieraz.

— Podziwiam śmiałość pańskiego przedsięwzięcia.

— Fraszki to są, fraszki! Skoro sumiennie wypełnię mój obowiązek, wtenczas przyjmę może ofiarę domu Tellsona, usunę się od interesów i zamieszkać na starość w spokojnem ustroniu.

Podczas rozmowy pana Lorry z Karolem, weszło do domu Tellsona kilku panów francuzkich a z niemi Stryver adwokat. Kiedy francuzi rozprawiali ze Strywerem

o wypadkach politycznych, wszedł z listem do pana Lorry, jeden z sekretarzy banku Tellsona, oświadczając że nikt nie zna tutaj nazwiska osoby do której list jest adresowany. Darnay, który stał obok pana Lorry spojrzał się na kopertę i z wielkim podziwem przeczytał na niej własne nazwisko. Adres listu był następujący: „Do rąk Markiza Ewremonda, w Londynie, w domu Tellsona.“

Doktor Manette dowiedziawszy się o prawdziwym nazwisku Karola Darnaya, w dniu jego ślubu, wymógł na nim przyrzeczenie że nikomu więcej nie odkryje ojczystego imienia, które z tego powodu, pozostało nawet dla Łucji tajemnicą.

— Nie znam tego nazwiska, ani nie wiem gdzie ten pan się znajduje, odpowiedział Lorry sekretarzowi, który mu list podał.

Zbliżała się już godzina, o której zwyczaj kończyły się wszystkie czynności w domu Tellsona, ale pokój pana Lorry napełniał się coraz więcej przybyszami, pomiędzy którymi było kilku panów z Francji. Kiedy pan Lorry patrzył się na list pytającym wzrokiem, jeden z obecnych rzucił okiem na kopertę, a przeczytawszy nazwisko Ewremonda, rzekł do drugiego: „list ten jest zaadresowany pewnie do synowca markiza, do młodego Karola, który jak słyszę odrodził się od swoich przodków; cieszę się mocno że nie znam go wcale.“

— Tchórz, który niecierpliwie uciekł z placu; rzekł drugi.

— Zaraził się nową filozofją, rzekł trzeci, pokłócił się ze stryjem, w skutku czego opuścił majątek, a następnie podarował go hultajom, którzy go wynagrodzą za to jak zasłużył.

— Czy w rzeczy samej ten łotr tak zrobił? zapytał Strywer, zobaczymy jakie jest jego nazwisko.

Darnay nie mógł dłużej powstrzymać oburzenia, więc trącił w ramię Strywera i rzekł: ja znam tego pana.

— Znasz tego pana? rzekł Strywer, jeżeli tak jest, to bardzo cię żałuję.

— Czemu?

— Czemu? pytasz się panie Darnay. Czy niesłyszałeś o jego sprawkach?

— Pytam się raz jeszcze czemu ubolewasz nad tem że znam tego pana?

— Więc powiem ci panie Darnay szczerze że bardzo mi jest przykro, iż zadajesz mi podobne pytania. Przyznajesz się do znajomości z człowiekiem, który zarażony najczarniejszą djabelską pokusą, oddał swój majątek w ręce podłego tłumu, który kupczy krwią ludzką. Powiem ci nadto, że stosunek z takim łotrem plami uczciwego człowieka.

Karol powstrzymał wybuch gniewu, z obawy ażeby nie zdradzać tajemnicy, więc odrzekł tylko: pan może nie rozumiesz tego człowieka.

— Jeżeli on jest szlachcicem, przyznaję się że wcale nie rozumiem jego postępowania. Możesz mu pan powiedzieć odemnie iż dziwię się mocno, że podarowawszy swój majątek tym oprawcom nie stanął sam na ich czele. Ale nie, panowie, rzekł Strywer odwracając się do obecnych, znam ja dobrze naturę ludzką i ręczę wam za to, że dobroczyńca tego podłego tłumu, za nic w świecie nie powierzy się jego opiece.

Tak rzecz swą zakończył pan Strywer, z ogólnym zadowoleniem słuchaczy, poczem wyszedł z domu Tellsona, a za nim rozeszli się insi goście. — Kiedy Lorry pozostał sam na sam z Karolem, zapytał się go czy zechce wziąć ów list z sobą dla doręczenia go właścicielowi.

— Wezmę i oddam do własnych rąk jego, odpowiedział Karol.

— Racz także powiedzieć że ten list leżał już u nas pewny przeciąg czasu, a to z powodu, że nie wiedzieliśmy komu go mamy oddać.

— Powiem to wszystko, ale czy pan dziś jeszcze udajesz się do Paryża?

— Dziś jeszcze, o godzinie 8ej wieczorem.

— Dobrze że wiem, bo chcę się jeszcze widzieć z panem, jak będziesz odjeżdżać.

Karol niezadowolony a nawet rozgniewany z powodu rozmowy ze Strywerem, wyszedł pośpiesznie z domu Tellsona, a znalazłszy miejsce, w którym nie był niepokojony przez natrętnych świadków roztworzył list i czytał:

Paryż. Z więzienia 21 Czerwca 1792.

Panie Markizie!

Od czasu śmierci stryja pańskiego aż do téj pory, pomimo pogroźek śmierci, po-

zostawałem na dawnym stanowisku, wykonując wiernie obowiązki włożone na mnie przez pana, aż nadszedł dzień dla mnie straszny, w którym porwali mnie z domu i uprowadzili do Paryża. Nie będę opisywał ile wycierpiałem na miejscu i w podróży, powiem tylko że obeszlą się ze mną niemiłosiernie, a dom mój zrównali z ziemią. Obwiniają mnie o zdradę przeciwko narodowi i za takową zbrodnię osadzili mnie w więzieniu i stawili przed sądem, który mi zagraża karą śmierci. Kiedy im przedstawiam że od czasu zaskwestrowania dóbr markiza, nie wybierałem od ludu żadnej płacy ani podatków, odpowiadają mi że działałem na korzyść emigranta, którym ty jesteś panie. Ach! najłaskawszy panie, były nasz markizie, zaszłam do ciebie błagalną prośbą za pośrednictwem domu Tellsona w Paryżu. Na miłość Boga, czci imienia i sprawiedliwości, ulituj się nad moim nędznym losem, przybądź mi na pomoc i uwolnij od niechybnej śmierci, jeżeli to będzie w twój mocy. Całą jest moją zbrodnią że byłem ci wierny zawsze, błagam cię więc panie teraz, niezawieź ufności którą pokładałam w tobie.

Z więzienia, w którym szybko zbliżam się do grobu, przeselałam ci panie zapewnienie mojego szacunku.

Wierny i nieszczęśliwy sługa  
Gabelle.

Wiadomość o losie wiernego sługi poruszyła do żywego Karola, który zakrył twarz rękami, wspomniawszy na to że on mógł stać się powodem jego nieszczęścia. Rozważając wszystko, wyciągnął nareszcie Karol Darnay ten wniosek, że wypada mu udać się do Francji i że tym tylko śmiałym postępkim, może się oczyścić od zarzutów i uwolnić swego sługę z więzienia, w którym nieochybna śmierć go czeka.

Obecne położenie Karola Darnay było podobne do losu żeglarza z powieści, co to zagnany przeciwnym wiatrem i burzą, widzi się być pod wpływem magnesowej skały, której przyciągającej sile oprzeć się nie jest w stanie. Od niejakiego czasu dręczyła go ta myśl najwięcej, że lud jego kraju do złych celów i najgorszymi dąży środkami, a że obowiązkiem jest jego dołożyć wszelkich starań ażeby zatamować

krwi przelew i zwrócić obłąkanych braci na drogę ludzkości i łaski. Kiedy nakoniec przypomniał sobie Karol treść listu Gabella, który go przyzywał w imieniu sprawiedliwości, czci i sumienia, już wtenczas nie wahał się bynajmniej i postanowił natychmiast wyjechać do Paryża. Widocznie magnesowa skała wyroków coraz silniej przyciągała Karola i bądź co bądź on musi płynąć ku niej, aż nareszcie uderzy o jej krawędź i o nią się rozbije. Ale on nie widział jeszcze przed sobą żadnej skały i nie marzył nawet o niebezpieczeństwie, owszem, zdawało mu się że zostanie mile powitany we Francji, a cele dobre, wniosłe, ku którym chciał dążyć w cudnym przedstawiły mu się widzeniu, jakoż marzył nawet że zdoła pokierować tym ognistym wozem, który tak krwawą obrał sobie drogę i że zatrzymawszy go w szalonym peędzie, na szeroki i światły wyprowadzi go gościniec.

Przyszedłszy do domu długo rozmyślał nad tym Karol, czy ma zawiadomić Łucję i jej ojca o swoim nowym przedsięwzięciu, czy też ma zachować tajemnicę przed nimi aż do chwili wyjazdu; nareszcie namyślił się i postanowił nie tylko im nie mówić ale nawet wyjechać bez pożegnania, zostawiwszy list do Łucji, w którym jej objaśni przyczyny skłaniające go do nagłego wyjazdu, a tym sposobem uniknie widoku jej wzruszenia i żalu, któryby mógł zachwiać jego postanowienie.

Kiedy zbliżyła się godzina w której miał odjeżdżać pan Lorry, przypomniał sobie Karol że ma się z nim pożegnać, zatem poszedł do domu Tellsona, nie myśląc jednak wcale wyjawić panu Lorry swoich zamiarów, dopóki nie zobaczy się z nim w Paryżu.

Konie pocztowe stały już przed domem Tellsona, a obok powozu stał Jerzy w podróżnym ubraniu.

— Oddałem już list jego właścicielowi, a pan może będziesz łaskaw zawieźć ustną odpowiedź do Paryża, rzekł Karol do pana Lorry.

— Dobrze, jeżeli tylko ta odpowiedź nie jest niebezpieczną.

— Ręczę że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa, chociaż wiadomość która

pan udzielił osobie interesowanej, dotyczące się więzienia.

— Jak się ten wiezień nazywa?

— Gabelle.

— Gabelle. A jaka jest odpowiedź?

— Powiesz pan tylko że list został oddany do własnych rąk tego, do kogo był zaadresowany i że ten pan sam przybędzie do Paryża.

— Kiedy wyjedzie?

— Jutro wieczorem.

— Czy więcéj nic nie ma do doniesienia?

— Nic.

Karol dopomógł panu Lorry do włożenia podróżnego ubrania, a następnie odprowadził go aż do Fleet-Street. Przy pożegnaniu rzekł Lorry: ucałuj odemnie twoją żonę i maleńką Łucję i pamiętaj ażebyś miał czułą pieczę nad nimi do mego powrotu. Kiedy powóz już odjeżdżał, Karol smutnie ruszył głową i uśmiechnął się boleśnie.

Powróciwszy do domu Karol siadł przy stoliku i napisał dwa serdeczne z pożegnaniem listy; jeden z nich był zaadresowany do Łucji i zawierał wyluszczenie powodów, dla których odjeżdża pośpiesznie, przyczém zapewnienie że żadne nie grozi mu niebezpieczeństwo i że wkrótce spodziewa się powrócić na łono rodziny; w drugim liście, była prośba do ojca żony, aby się opiekował Łucją i miłém dziecięciem. W obydwóch listach obiecał Karol napisać do nich natychmiast, skoro przybędzie do Paryża.

Smutnie upłynął dzień ostatni przed podróżą Karolowi, a tajemnica, którą ukrywał, tak mu ciążyła na sercu, że już nie raz chciał ją wyznać, ale widok czulej żony z zupełną pogodą na czole, zamykał mu usta. Wieczorem ucałował serdecznie ukochaną małżonkę i jedyne dziecię, poczém odszedł i przygotował się do odjazdu.

Kiedy już wychodził z domu, pozostawił listy u stróża, któremu polecił oddać takowe do własnych rąk doktora, ale nie prędzej jak około jedenastej godziny w nocy. Konie czekały już na ulicy; Karol wsiadł do powozu i pojechał wprost do Dowru.

## SZLAK BURZY.

### I.

Zaledwie Karol Darnay stanął na ziemi francuzkiej, natychmiast zatrzymany został przez miejscową władzę. Przejrzawszy jego papiery dozwolono mu jechać do Paryża, ale nie inaczej jak pod strażą dwóch patrjotów, którym zobowiązał się płacić za to. Skoro przybył do miasta Beauvais i zsiadł z konia przed domem pocztowym, poznał niebezpieczeństwo zagrażające mu we Francji, liczny tłum ludu otoczył go zaraz kołem, wołając: chwytajcie emigranta. Karol skoczył czémprędzej na konia, z którego zsiadł przed chwilą, a potem odrzekł:

— Nazywacie mię emigrantem mili przyjaciele, otóż wiedźcie że z własnej woli przybyłem do Francji.

— Jesteś przeklętym emigrantem i arystokratą! wołał z wściekłością kowal, przeciskając się przez tłum ludzi i grożąc mu młotem.

Urzędnik pocztowy stanął pomiędzy jeźdźcem a kowalem i rzekł pojednawczym głosem: dajcie mu pokój, osądzą go w Paryżu.

— Tak, osądzą i ukarzą jako zdrajcę, zawołał kowal potrząsając młotem.

Jeden z dwóch patrjotów którzy eskortowali Karola, był zupełnie pijany, a zatem siedział nieporuszony na siodle i z największym spokojem przyglądał się tej scenie... Karol obrócił się twarzą do otaczającego go tłumu i jak mógł najdonośniejszym zawołał głosem: przyjaciele mylicie się, ja nie jestem zdrajcą.

— Kłamie! zawołał kowal pniąc się od gniewu, on jest zdrajcą, a życie jego od czasu zapadłego wyroku do nas należy.

W chwili, kiedy tłum wściekły gotów był już rzucić się na Karola, pocztmistrz uchwycił jego konia za uździenicę i wprowadził na dziedziniec, poczém pośpiesznie zamknął za sobą wrota. Lud za bramą zaszemrał głośno i kowal uderzył raz do drzwi młotem. ale wkrótce nastąpiła cisza.

— O jakim wyroku mówił kowal? zapytał Karol pocztowego urzędnika, podziękowawszy mu wprzód za oswobodzenie.

— Pewnie mówił o dekrete który nakazuje sprzedaż dóbr emigrantów.

— Dawno jak wydany został ten wyrok?

— Czternastego tego miesiąca.

— Tego samego dnia wyjechałem z Londynu.

— Mówią że oprócz tego dekretu zapadły jeszcze inne, które skazują na wygnanie lub na śmierć emigrantów i dla tego zapewne kowal powiedział że życie wasze nie do was już należy.

— Ale wyrok skazujący na śmierć nie zapadł jeszcze?

— Kto wie! rzekł pocztmistrz wzruszając ramionami, może już jest, może dopiero będzie, ale to wszystko jedno.

Po tej rozmowie Karol Darnay poszedł do stajni, gdzie położył się wraz ze swemi strażnikami na słomie i dopiero po północy, kiedy już całe miasto spało, wyjechał z niemi w dalszą drogę. Noc całą podróżowali wśród opustoszałych lub spalonych wiosek, a tu i owdzie spotykali na drodze patrole patryotów, którzy w pewnych ustępach rozstawieni byli na gościńcu wiodącym z Beauvais do Paryża.

Nad rankiem ujrzeli podróżni wały miasta i roгатki, które były zamknięte i strzeżone przez kilku zbrojnych.

— Gdzie masz papiery? zapytał się Karola urzędnik wezwany przez strażnika. Karol zamiast odpowiedzieć wprost na zapytanie, zrobił urzędnikowi uwagę, że jest obywatelem francuzkim i że z powodu zaburzeń zaszłych w kraju, władze miejscowe dodały mu straż na granicy.

— Gdzie są papiery więźnia? zapytał się znów urzędnik nie dając żadnego baczenia na odpowiedź Karola.

Pijany patryota wy dostał papiery z czapki i oddał je urzędnikowi.

List Gabella wpadł najprzód w oczy urzędnika, który okazał zdziwienie i z natężoną uwagą przypatrywał się Karolowi, następnie nie wyrzekłszy ani słowa, poszedł z papierami do domu, w którym znajdowała się straż roгатkowa. Karol Darnay patrzył się tymczasem na około siebie i zauważał, że wniknięcie do miasta zwłaszcza dla chłopskich wozów było dość łatwe, ale wyjście po za obręb wałów, straż miejscowa utrudniała nadzwyczajnie. Mnóstwo pojaz-

dów i wozów różnego rodzaju, jako téż liczny tłum mężczyzn i kobiet nie licząc zwierząt, czekał przed roгатkami, a tak skrupulatnie i długo przeglądali urzędnicy papiery, że po jednym tylko i to w rzadkich odstępach przeciskali się ludzie przez barjery; niektórzy z nich, nie mogąc do czekać się swojej kolei zasnęli na ziemi, kiedy inni leżąc palili fajki, inni znów zabawiali się rozmową; wszyscy mieli na głowach czerwone czapki i trójkolorowe kokardy. W pół godziny powrócił urzędnik i kazał Karolowi zsiąść z konia, a oddawszy kwit jednemu z jego strażników, dał mu znak ażeby szedł za nim. Karol udał się za przewodnikiem do komnaty napełnionej żołdactwem i patryotami, z których wielu było pijanych, jedni palili fajki, inni znów drzemali, a lampa dogorywała na kominie. Na stole leżał stos papierów przed urzędnikiem.

— Obywatelu Defarge, rzekł urzędnik z dzikim i ponurym twarzą wyrazem do przewodnika Karola, biorąc pióro do ręki, czy pewny jesteś że ten emigrant nazywa się Ewremonde?

— Nie powątpiewam o tém.

— Ile lat wieku liczysz Ewremondzie?

— Trzydzieści siedm.

— Czy jesteś żonaty?

— Tak jest.

— Gdzie się ożeniłeś?

— W Anglii.

— A gdzie znajduje się obecnie twoja żona?

— W Anglii.

— Tak, zeznanie twoje zgadza się z prawdą. Jesteś skazany Ewremondzie do więzienia la Force.

— Wielki Boże! na zasadzie jakiego prawa i za jaką skazujecie mię zbrodnię?

Urzędnik podniósł na chwilę głowę do góry i odrzekł:

Odkąd opuściłeś Francję Ewremondzie, nowe nastaly prawa i nowe są zbrodnie.

— Ależ zastanówcie się nad tém że przybywam tutaj dobrowolnie, w zamiarze oczyszczenie się z zarzutów i oswobodzenia biednego współobywatela z więzienia, a kiedy sam pragnę się stawić przed sądem i wytłomaczyć, powiedźcie, czyż nie prawne jest moje żądanie?



— Emigranci nie mają praw Ewremondzie, odparł zimno urzędnik i zabrał się do pisania, poczem oddał kartkę do rąk Defarge'a, mówiąc: pod sekretem. Defarge kazał więźniowi iść za sobą; dwaj uzbrojeni patrijoci stanęli za Karolem i krok w krok postępowali za nim.

— Czyż to ty zaślubiłeś córkę doktora Manette, który był niegdyś więźniem w Bastylji? zapytał się Defarge, kiedy już weszli do jednej z ulic miasta.

— Tak jest, ja ją zaślubiłem, odrzekł Darnay zdziwiony.

— Nazywam się Defarge i jestem właścicielem winnego handlu na przedmieściu Śgo Antoniego; może słyszałeś o mnie?

— Moja żona wywiozła z waszego domu swego ojca, czy nie tak?

— Tak jest.

Zdawało się jakoby wyraz: żona, obudził w umyśle Defarge'a jakieś wspomnienia, bo zawołał z niecierpliwością: na imię tej strasznej nowo narodzonej pani, która się zowie gilotyną, powiedz, po co przybyłeś do Francji?

— Miałem słuszny powód, o którym mówiłem przed chwilą.

— Źle się tłumaczysz mój panie, rzekł Defarge, marszcząc brwi i spoglądając wprost przed siebie.

— W rzeczy samej, widzę dopiero teraz że jestem zgubiony, bo od czasu mego wyjazdu tak straszna nastąpiła tutaj zmiana, że nie poznaję zupełnie tego kraju. Powiedz, czy i ty także nie podasz mi ręki?

— Nie, odpowiedział obywatel Defarge, patrząc zawsze przed siebie.

— Czy nie odpowiesz jeszcze na jedno zapytanie?

— Może odpowiem, ale to zależy będzie od rodzaju twego pytania. Mów.

— W więzieniu, do którego wtrącać mię tak niesprawiedliwie, czy dozwolicie mi widywać się ze znajomymi?

— Zobaczymy.

— Spodziewam się przecież że nie potępicie mię i nie zagrzebiecie pierwój nim znaję sposobność do bronienia méj sprawy?

— Zobaczymy; ale w każdym razie, czyż dawniej mało zagrzebano osób tajnym sposobem i w nierównie gorszych jeszcze więzieniach?

— Nie przeczę, ale nie z mojej winy, boć ja nie skrzywdziłem nigdy nikogo. Obywatel Defarge spojrział się tylko ponuro, ale nic nie odpowiedział. Karol miał bardzo słabą nadzieję zmiękczenia swego przewodnika, ale jednak spróbował przedstawić mu swoje żądanie i rzekł: mój interes wymaga koniecznie, ażebym się zniósł z panem Lorry agentem banku Tellsona, który obecnie znajduje się w Paryżu. Czy zrobisz mi tę łaskę obywatelu, czy zechcesz zawiadomić pana Lorry, jak mię zatrzymano na rogatkach i wysłano do więzienia la Force?

— Nie! odparł gburowato Defarge. Jestem gotów zawsze na usługi mojego kraju i ludu, ale dla ciebie nic nie zrobię.

Karol przekonał się że nie zmięczy tego człowieka, a zatem nie prosił go już więcej, nie chcąc uniżyć się napróżno.

Przechodząc przez miasto, spotkali w pewnej ciasnej uliczce ludowego mówcę, który stanąwszy na wysokim stołku, prawił długie kazanie o zbrodniach przeciwko prawom ludu. Kiedy przybyli do więzienia la Force spotkał ich odźwierny, który dał pokwitowanie Defarge'owi, jako odebrał więźnia, a przeczytawszy na kartce którą mu Defarge wręczył: „w odosobnieniu“ wziął pęk kluczy i kazał więźniowi iść za sobą.

Stróż wiódł Karola przez ciemne korytarze i schody; nie jedne wpośród nich drzwi roztworzył i zamknął z trzaskiem, zanim wprowadził go do ogromnej sklepionej sali, w której było mnóstwo więźniów różnej płci i wieku. Kobiety siedziały około długiego stołu nad książkami i nad robotą, a mężczyźni stali po większej części za krzesłami kobiet, lub chodzili z założonymi rękami po komnacie. Z początku zdawało się Karolowi że znajduje się w towarzystwie zwyczajnych więźniów, których zbrodnie i występki zgromadziły tutaj, ale odmiennego a dziwnego doznał wrażenia, kiedy nagle powstały na widok jego wszystkie te osoby i zaczęły go witać z wdziękiem i uprzejmością, która jest cechą wyższego wykształcenia. Tak smutne były ruchy ich, a tyle ponurego wyrazu w rysach i wejrzeniu twarzy, że znów zdawało się Darnayowi jakoby liczne cienie umarłych otoczyły go kołem. I dziwnie różno-

barwna panorama duchów przesuwiała się przed jego oczami: były tutaj cienie piękności i dostatku, dumy i płochości, cienie młodych i starców, a wszystkie niby stały na wieczności brzegu, z przygasłemi oczami, które pokrył zmrok śmierci, odkąd zamknęły się za niemi drzwi więzienia. Patrzał się na około Karol milcząc nieporuszony, a surowe i dzikie twarze dozorców i stróży, dziwną przedstawiały sprzeczność w porównaniu z obliczami matek, lub córek, kwitnących jeszcze młodością i krasą; powab zalotności i wykształcenia w ruchach i spojrzeniach młodych piękności, dziwnie odbijał obok całej ponurzej sceny tego żyjącego grobu.

— W imieniu wszystkich braci w nie-  
szczęściu, mam zaszczyt powitać pana w tém  
więzieniu i oświadczyć współczucie nad lo-  
sem, który go między nas sprowadził, rzekł  
do Karola zbliżając się ku niemu jeden z gro-  
na mężczyzn, a następnie dodał: daj Boże!  
ażebyscie ztąd wyszli szczęśliwie; czy mo-  
żna się zapytać jakie jest pańskie nazwisko?

Karol zadrżał cały, jakby się obudził ze  
snu ciężkiego i odpowiedział na zapytanie.

— Mam nadzieję, rzekł tenże sam męż-  
czyzna, że pan nie zostaniesz zamknięty  
osobno.

— I owszem, słyszałem to z ust urzędni-  
ka, który mię wysłał do więzienia.

— Mój Boże! żałuję pana tém więcej,  
ale nie trać nadziei, niektórzy z naszego  
towarzystwa byli także zamknięci w ten  
sposób, ale wkrótce uwolnieni zostali. Po-  
tém zwracając się ku towarzyszący rzekł  
głośno: ten pan ma być odosobniony.

Kiedy odźwierny wyprowadzał Karola  
z ogólnej sali i roztworzył przed nim drzwi  
żelazne, szmer politowania dał się słyszeć  
pomiędzy tłumem, a najwięcej podniosło  
się głosów kobiecych, które przesłały mu  
życzenia i starały się pokrzepić go nadzie-  
ją. Nim odszedł Karol, odwrócił się raz  
jeszcze przesłać przez kratę skinieniem  
ręki podziękowanie, za wyrazy współczucia  
i potem zniknął im z oczów. Czterdzieści  
wysokich kamiennych schodów prowadziło  
w górę więzienia Karola Darnaya. Kiedy  
na ostatnim stanęli stopniu, stróż roztwo-  
rzył drzwi niskie i czarne i kazał wniść  
więźniowi do wilgotnej maleńkiej celi.

— Oto jest mieszkanie twoje, rzekł odź-  
wierny.

— Czy sam jeden mam być tutaj zam-  
knięty?

— Nie wiem.

— Czy mogę kupić papier, pióro i atra-  
ment?

— I tego nie wiem, bo nie odebrałem  
żadnych w tym względzie rozkazów.

— Możesz ich o to później poprosić,  
skoro cię odwiedzą w więzieniu, tymczasem  
prócz pożywienia nie masz prawa kupować  
nic więcej.

W celi znajdował się stół, jeden stołek  
i nędzny wypchany słomą materac. Kiedy  
stróż odszedł, Karol załamał ręce i zawo-  
łał: teraz jestem zamknięty jak w grobie,  
a spojrzawszy się na materac na wpół sto-  
czony przez robaków, odwrócił się ze wstrę-  
tem i pomyślał sobie że taki ma być los je-  
go ciała po śmierci. Cella miała długości  
cztery kroki, więc zmierzył ją natychmiast  
i chodził tam i napowrót, a zdawało mu  
się że dochodzi do jego uszów gwar mia-  
sta, niby dalekie echo bębnow i burzliwych  
głosów.

## II.

Pan Lorry mieszkał w Paryżu w domu  
Tellsona, do którego przyrósł ciałem i du-  
szą jak jemiola do swego drzewa. Front  
domu w którym mieszkał był teraz zajęty  
przez patryjotów, mógł więc on być spokoj-  
nym że nie dozna żadnej napaści, ale będąc  
wyłącznie zajęty obowiązkami, które wło-  
żył na niego bank Tellsona, mało troszczył  
się o bezpieczeństwo swojej osoby. W dzie-  
dzińcu pomiędzy kolumnami pod dachem  
stały bogate powozy, a dwa kagańce przy-  
wiązane do filarów ponure rzucały światło  
na ogromny szeroki kamień do ostrzenia  
mieczów, który niedawno został przywiezio-  
ny tutaj. Kiedy pan Lorry spojrzął się na  
dziedziniec przez okno, zadrżał nagle i od-  
wrócił głowę, poczem spuścił stopy i usiadł  
przy kominie około ognia.

Z ulicy dochodziły do uszów pana Lor-  
ry straszne okrzyki i niezwyčajny jęk  
dzwonów, a słysząc to zawołał klaszcząc  
w dłonie: dzięki Bogu, że nikt z ukocha-  
nych moich nie znajduje się téj nocy w Pa-  
ryżu; oby niebo ulitowało się nad nieszczę-

śliwami którym zagraża niebezpieczeństwo. W tej chwili zadzwoniono silnie do drzwi domu Tellsona. Patrjoci powracają z nocnej wyprawy, pomyślał pan Lorry, ale słyszy że drzwi zamykają się spokojnie, poczem cisza nastąpiła do koła. Nagle przychodzi mu myśl do głowy, że może niebezpieczeństwo jakie zagraża bankowi Tellsona, więc wychodzi, ażeby się przekonać czy ludzie którym straż powierzył tej nocy znajdują się na swoich stanowiskach, atoli jakież było jego zdziwienie, kiedy drzwi roztworzyły się nagle i ujrzał niebawem przed sobą dwie dobrze znajome postacie.

Pan Manette i jego córka stanęli na progu. Łucja wyciągnęła ku niemu ręce z gorączkowym rumieńcem na twarzy i z wyrazem niespokojności w oczach.

— Co to się znaczy? wołał pan Lorry przerażony ich niespodziewanem przybyciem. Co to się znaczy Łucjo, jaki los złowrogi sprowadza was tutaj?

Błada i z osłupiałem wejrzeniem, Łucja rzuciła się w jego objęcia, wołając: O mój przyjacielu, mój biedny mąż!

— Co mówisz o mężu, Łucjo?

— Karol!

— Co stało się z Karolem?

— Karol jest tutaj.

— Gdzie?

— W Paryżu. — Zdaje mi się że od trzech czy czterech dni znajduje się już tutaj..... nie pamiętam zresztą jak dawno, bo nie mogę w tej chwili zebrać myśli. Szlachetna jakaś pobudka zmusiła go do nagłego wyjazdu, ale zaledwie stanął w Paryżu, zatrzymali go na rogatkach i odesłali do więzienia.

Pan Lorry wydał okrzyk bolesny; w tej, że samój chwili usłyszeli głos wielkiego dzwonu i wkrótce obito się o ich uszy echo głosów i kroków ludzkich.

— Co to za hałas? zapytał Manette zbliżając się do okna.

— Nie przyglądaj się, na rany Boskie! wołał pan Lorry, nie podnoś storów.

Doktor z wyrazem spokoju na twarzy i z zimnym odparł uśmiechem: mój drogi przyjacielu, nie obawiaj się o mnie, ja mam zasługi w tém mieście, jako były więzień, Bastylji. Zaręczam ci że nie tylko włos z głowy mi tutaj nie spadnie, ale nawet

każdy z tych patrjotów na wspomnienie mego nazwiska, gotów jest rzucić się w moje objęcia i ponieść mię na swych barkach z tryumfem. Winienem dawnym moim cierpieniom, że przepuścili mię przez rogatki i zawiadomili o losie Karola. Nie wątpię nawet że potrafię go oswobodzić i dla tego pocieszam Łucję i mówię że może zaufać mojemu wpływowi. Ale co to za gwar? To powiedziawszy, zbliżył się znów doktor do okna.

— Nie zaglądam! wołał Lorry z rozpaczą, ani ty Łucjo nie przybliżaj się także do okna, zaklinam cię na wszystko. Pochwycił ją oburącz i nie pozwolił ruszyć się z miejsca. Nie obawiaj się moje dziecko. Przysięgam że nic nie wiedziałem dotąd o wypadku który spotkał Karola. Powiedz mi w jakim on znajduje się więzieniu?

— W więzieniu la Force.

— La Force! Słuchaj mię Łucjo: jeżeli chcesz dopomóc twemu mężowi, o czém nie wątpię, bądź spokojną i cierpliwą, a nadewszystko nie wychodź nigdzie tej nocy, bo mogłabyś pogorszyć tém jego sprawę. Proszę cię, zrób to dla miłości Karola, udaj się na spoczynek do pokoju który przeznaczam dla ciebie, tymczasem zostaw mię sam na sam z twym ojcem. Jeszcze raz zaklinam cię na wszystko, spełnij moje żądanie.

— Będę ci posłuszną panie, bo ufam twemu sercu i twoim słowom.

Starzec pocałował ją w czoło i odprowadził do przyległego pokoju, a zamknawszy drzwi na klucz położył rękę na ramieniu doktora i rzekł cichym głosem: czy wiesz że ci ludzie przed chwilą mordowali więźniów? Na Boga, panie Manette! jeżeli w rzeczy samój, jak powiadasz, masz władzę nad niemi, użyj jój czempredżej i pośpieszaj do więzienia la Force. Kto wie, może nawet już teraz jest zapóźno, ale w każdym razie, nie należy tracić ani jednej chwili.

Manette ścisnął rękę przyjaciela i wybiegł szybko z pokoju.

Pełne wyrazu oblicze doktora, jego długie białe włosy, a nadewszystko jego śmiałe ruchy i pełne ufności wejrzenie silnie oddziaływało na tych ludzi; jakoż opuścili na dół miecze i noże i rozstąpili się przed nim.

Wszyscy słuchali go w milczeniu, a skoro przestał mówić, powstał szmer pomiędzy tłumem, z którego wystąpiło dwudziestu ludzi, którzy otoczywszy go kołem zawołali zgodnie:

— Niech żyje więzień Bastylji! ustąpcie się przed więźniem Bastylji, niechaj on stanie na czele; spełnijmy jego żądanie i uwolnijmy więźnia z la Force.

Pan Lorry poszedł do pokoju Łucji i uwiadomił ją że jej ojciec udał się do więzienia la Force, w towarzystwie ludzi, którzy mu obiecali swą pomoc. Łucja w niemém osłupieniu upadła na podłogę, ścisnąc rękę starego przyjaciela, który na próżno starał się ją pocieszyć nadzieją oswobodzenia Karola.

Niańka położyła małą Łucję w przeznaczoném dla niej łóżku, a sama usiadła koło niej i czuwała nad nią aż w końcu sen zmrużył także jej powieki, opuściła głowę na poduszkę i zasnęła obok dziecięcia. Dwa razy zadzwoniono do bramy, a za każdym razem słychać było że kamień do ostrzenia mieczów był w ruchu. Co słyszę? wołała Łucja z przerażeniem. Cicho! rzekł Lorry, żołnierze ostrzą swoje miecze; ten dom stał się własnością narodową i przeznaczony został na skład broni.

Nad rankiem, wydobył pan Lorry rękę z uścisku Łucji, wyszedł z jej pokoju i spojrzął się przez okno. Człowiek poplamiony krwią i kurzem powstał z ziemi na której leżał obok kamienia i spojrzął się na około osłupiałym wzrokiem. Upadły na siłach morderca przybliżył się chwiejącym krokiem do pysznego pojazdu, który był niegdyś własnością jakiegoś wielkiego pana, następnie uchwycił się drzwiczek powozu, z trudem dostał się wewnątrz i spoczął na bogatych poduszkach. Nim pan Lorry odszedł od okna, wschodzące słońce zarumieniło podwórze i mury domu, a na kamieniu czerwieniła się duża krwawa plama, której słońce nie utworzy, ani też jej zatrzeć nie może.

### III.

Minęło już dni kilka od czasu jak pan Manette udał się do więzienia la Force, a dotąd niepowracał wcale; napisał tylko jeden list do Łucji, w którym ją upewniał

że oswobodzi Karola, drugi zaś wyprawił do pana Lorry, donosząc mu w tém piśmie po szczególe o wszystkich wypadkach, które zaszły w czasie jego obecności w więzieniu. Pomiedzy innymi wiadomościami donosił, że przeszło tysiąc nieszczęśliwych więźniów różnej płci i wieku zamordowano bezprawnie, że on sam stawił się przed trybunałem rewolucyjnym, a wyjawwszy swoje imię i opiszawszy długie cierpienia, których doświadczał jako polityczny więzień Bastylji, żądał ażeby uwolnili zięcia jego Karola, który jest niesłusznie podejrzwany i więziony. Na wspomnienie nazwiska doktora, tłum uniósł się wielkim zapalem, i pan Manette miał już niepłonną nadzieję uwolnienia z więzienia swego zięcia, gdy tymczasem w skutku nieznanych przyczyn ucichły głosy przemawiające na korzyść więźnia i nastąpiły szeptki pomiędzy sędziami a ludem, aż w końcu powstał jeden z sędziów, który prawdopodobnie pełnił obowiązki prezesa i zawiadomił doktora że zięć jego musi pozostać jeszcze w więzieniu, ale że może być pan Manette spokojny, iż przez szacunek dla niego ani jeden włos z głowy Karolowi nie spadnie. Dalej, opisywał doktor krwawe sceny, których był świadkiem, ale błagał pana Lorry ażeby nic o tém nie wspominał Łucji.

Wiadome wypadki polityczne szybko następowały po sobie, a padło ofiar dużo i popłynęło krwi wiele od czasu przyjazdu pana Lorry do Paryża. Dom Tellsona jak już wspomnieliśmy wyżej, znajdował się pod opieką patriotów, którzy zajęli część jego główną, ale zwróciwszy na to uwagę, osądził pan Lorry że największą popełniał niedorzeczność, dając przytułek w tym domu żonie emigranta, zatem inne obrał dla Łucji mieszkanie, w najmniej ludnej części miasta w zupełném ustroniu.

Skoro Łucja przeniosła się do nowego mieszkania, wkrótce przybył jej ojciec i przyniósł pożądaną wiadomość o Karolu, że w dobrém znajduje się zdrowiu i że z samotnej celi w której był dotąd zamknięty, przeprowadzony został do ogólnej sali. Pan Manette, jako doktor, często odwiedzał więźniów i przynosił Łucji ustne pozdrowienie od męża. Jakkolwiek wieści o Karolu przynosiły ulgę jej zbolełemu sercu,

jednak zaspokoić jęj zupełnie nie były w stanie i nie dziw, że przez cały przeciąg czasu od jęj przyjazdu do Paryża, dniem i nocą trwożyła ją ta myśl okropna że głowa jęj ukochanego małżonka może spaść lada chwila pod mieczem giljotyny. Codziennie pod oknami Łucji przejeżdżały ciężkie wozy, napełnione więźniami skazanymi na śmierć. Piękne hoże dziewczki z czarnymi i jasnymi włosami, poważne siwe matrony, młodzieńcy i starcy, słowem osoby różnej płci, wieku i wszystkich stanów nieszczęśliwi wyrwani z objęć rodziny, lub wydobyti z ciemnych podziemnych więzień, zraszali i poili krwią swoją giljotyne, której pragnienie nigdy dość nasyceniem być nie mogło. Ciągła niepewność względem losu mężów, mogła była złamać najmężniejsze serce i pogрузić umysł w najzupełniejszej rozpacz, ale żona Karola nie zapomniała o obowiązkach, które od chwili odzyskania ojca zaciągnęła względem niego i otaczała go zawsze czułym staraniem i opieką. Odkąd osiedliła się Łucja w nowym pomieszkaniu, tak urządziła wszystko wygodnie, jak gdyby znajdowała się wraz z rodziną w dawnym domu w Londynie, na rogu ulicy Soho. Jak dawniej tak i teraz znajdowała ona czas na wszystko i w oznaczonych godzinach uczyła sama codziennie małeńką Łucję. W pokoju, który przeznaczyla dla Karola, poukładała wszystkie sprzęty i książki jego, a patrząc na nie łudziła się myślą że chwila powrotu drogiego męża już niedaleka, a ta myśl błoga w połączeniu z modlitwą, którą zasałała za nieszczęśliwych więźniów i w szczególności za niego, była jedyną pociechą zblałałej jęj duszy.

Łucja ubierała się czysto i skromnie, lecz tylko w czarnej chodziła sukni i tak samo stroiła córkę. Wprawdzie rumieniec zniknął z jęj lica, ale miała oczy pełne wyrazu i pomimo bladeści i smutku rozlanego na twarzy, była zawsze wielce nadobną. Często udając się na spoczynek, gdy ojcu dobrej życzyła nocy, gorzkimi zalewała się łzami i mówiła że on jest tylko jęj jedyną nadzieją po Bogu, na co zazwyczaj ojciec jęj odpowiadał: wierzaj mi drogie dziecko, że nic złego bez mojej wiedzy Karolowi stać się nie może i że jestem pe-

wny tego, że niezadługo uwolniony będzie.

Pewnego wieczora, pan Manette powróciwszy z miasta rzekł do córki: Donoszę ci Łucjo, że w więzieniu Karola jest jedno okienko w górze, przez które on wygląda czasami o godzinie trzeciej popołudniu, jeżeli więc zechcesz być widzianą przez niego, masz tylko udać się ze mną i stanąć w miejscu, które ci wskażę. Wprawdzie ty widzieć go nie będziesz moje drogie dziecko, ale nie potrzebuję ci mówić jak wielką pociechę jego sercu przyniesie twój widok.

— O! pokaż mi to miejsce drogi ojcze, a ja codziennie nawiedzać je będę.

Łucja dotrzymała przyrzeczenia i niezważając na burzę ani na słońce, chodziła codziennie do wskazanego jęj miejsca, gdzie nieraz parę przepędziła godzin; skoro wybiła druga po południu, już można było ją widzieć pod murami więzienia, zkaąd dopiero około czwartej godziny powracała do domu. Jeżeli czas nie był dzysty, brała z sobą Łucję, małeńką swą córeczkę i szła z nią na róg ciemnej i wązkiej ulicy, na której stał tylko jeden nędzny dom tracza. Kiedy żona Karola po raz trzeci znajdowała się w okolicy więzienia i wodziła okiem na około murów, tracz który naprzeciwko w biednej mieszkał chacie, wyszedł na jej spotkanie i rzekł: dobry dzień obywatelko

— Dzień dobry obywatelu.

W ten sposób mówili wszyscy patryjoci, bo prawo zakazywało wyraźnie używać innego tytułu.

— Często odwiedzasz tę ulicę obywatelko?

— Jak widzisz obywatelu.

Tracz który był niegdyś droźnikiem, małego był wzrostu, a lubił rozmawiać się na migi, bo nadzwyczaj wymowne czynił poruszenia rękami. Spojrzał więc w górę i wskazał na więzienie, poczem rozłożył przed oczami obie dłonie i patrzył żartobliwie przez szpary pomiędzy palcami, jak gdyby chciał tym sposobem przedstawić kratę więzienia. Poczem ruszając ramionami rzekł: to do mnie nie należy wcale i poszedł do swego mieszkania.

Następnego dnia, śnać musiał ten małeńki człowiek oczekiwać na Łucję, bo

spotkał ją na samym wstępie, na rogu ulicy i zagadnął: co widzę! znowu tutaj znajdujesz się obywatelko?

— Jak widzisz obywatelu.

— Ach! i dziecko jest także z tobą. Powiedz mi mała moja obywatelko, czy to jest matka twoja?

— Czy mam mu, tak, odpowiedzieć mam? tuląc się do matki wyszeptala przestraszona maleńka Łucja.

— Powiedz: tak, kochanie.

— Tak, obywatelu.

— Dobrze, ale to do mnie nie należy, pilnuję tylko mego rzemiosła.

Ja nazywam się Samsonem maleńkiej giljotyny. <sup>1)</sup>

Łucja zadrżała; obecność tego człowieka przerażała ją zawsze, ale nie mogąc uniknąć spotkania z traczem, starała się go zjednać pieniężnym datkiem, który on zawsze przyjmował chętnie. Nastąpiła już zima a Łucja odwiedzała codziennie mury, więzienia; od pewnego czasu przez dni kilka nie spotykała tracza i cieszyła się że natrętnego pozbawiona jest świadka, lecz raz gdy nagle odwróciła się od okna w którym zatoneła myślą i sercem, z wielkim podziwieniem ujrzała tracza patrzącego się na nią badawczo w klęczącej postawie; wtenczas on podniósł się szybko i rzekł: to do mnie nienależy wcale, poczem ją pożegnał i poszedł do swego domku.

Trudy Łucji były wynagrodzone bo dowiedziała się od ojca, że Karol widywał ją od czasu do czasu i serdeczne za to przesłał jej dziękczynienia.

Było to w miesiącu grudniu, kiedy Łucja dążyła jak za zwyczaj ku murom więzienia, a wielka była uroczystość w mieście, bo wszystkie domy mimo których przechodziła, były przystrojone chorągiewkami. Ujrawszy zamknięty domek tracza ucieszyła się, myśląc że dzisiaj nikt jej przynajmniej przeszkadzać nie będzie, ale niedługo radowała się tą nadzieją, bo wkrótce usłyszała dzikie głosy, a następnie ukazał się od strony więzienia liczny tłum ludzi, na którego czele szedł tracz jej znajomy. Około pięciuset osób było w tym tłumie, a słysząc gwar ich wściekły i widząc ich szalone tańce, rzekłbyś, że

<sup>1)</sup> Ówczesny kat paryzki zwał się *Samson*.

przynajmniej do pięciu tysięcy szatanów przyjmowało udział w tej zabawie. Śpiew zastępował muzykę, a takt tej pieśni podobny był do zgrzytania zębów.

W jednym kole tańczyli mężczyźni z kobietami, w drugim mężczyźni sami z sobą, w innem znów same tylko kobiety. Zdaleka nie można było odróżnić żadnej postaci wśród tego burzliwego morza czapek i łachmanów, ale w miarę jak zbliżali się do Łucji, wysuwali się z tłumu i wyskakiwali przed nią ludzie, podobni więcej do upiórów niż do żyjących istot; raz biegli naprzód w szalonych płasach, to znów cofali się uderzając nawzajem w dłonie, to znów potracając się głowami; jedni wirowali pojedynczo, inni w parach. Kiedy jedni z nich zataczając szalone koła padali na ziemię, inni brali się za ręce i tańczyli razem w jednym wielkim kole, to znów rozrywali się na drobne kółka. Nagle zatrzymali się wszyscy, a utworzywszy dłu gą linię rzucając się naprzód z głowami zwieszonymi ku ziemi i z podniesionymi rękami z przeraźliwym wrzaskiem. Ten taniec przedstawiał obraz najwścieklejszej bitwy, był on wprawdzie zabawą ale zabawą szatańską, która zaostrzając krew i odurzając głowę mroziła zarazem serce. Wdzięk, który niekiedy dał się dostrzegać w tym tańcu, czynił go jeszcze straszniejszym, wykazując przewrotność natury ludzkiej, która zboczywszy raz z dobrej i szlachetnej drogi, nie zna miary w rozpuszcie i to co nawet niegdyś w niej zacnym było, ku niegodziwym kieruje celem. Obnażone ramiona dziewcząt, rozognione ogólnym szałem twarze piękne i prawie jeszcze dziecięce, drobne ręce i stopy krwią poplamione, oto były widome cechy tej krwawej, szalonej epoki. Taniec nazywał się: *karmaniola*.

Kiedy przechodził ten orszak, Łucja cofnęła się z przerażeniem ku domowi tracza, tymczasem śnieg biały spadł na ziemię i całą zasłał ulicę. Łucja nie mogąc znieść widoku tego straszego tańca, zakryła twarz rękami, ale kiedy cały przesunął się już orszak podniosła oczy do góry i spostrzegła stojącego około niej ojca.

— O mój ojcze, co to za straszny widok!

— Wiem moja droga, wiem, widziałem już ten taniec nie po raz pierwszy, ale nie

łękaj się kochanie, żaden z tych ludzi nie zrobi ci nic złego.

— Nie boję się o siebie mój ojczu, ale kiedy wspomnę o moim mężu i pomyślę że on znajduje się na łasce tego ludu.

— Oswobodzimy go już niedługo, a teraz donoszę ci że twój Karol patrzy się z tego okna, na znak więc że wiesz o tém przeszli mu pocałunek; wszyscy już poszli dalej i nikt tego widzieć nie będzie.

— Uczynię to chętnie mój ojczu i przeszlę mu wraz z tym pocałunkiem duszę moją!

— Nie widzisz go ztąd moje dziecko?

— Nie drogi ojczu, rzekła Łucja z westchnieniem, wznosząc w górę łez pełne oczy.

Pani Defarge wysunęła się w téj chwili z przeciwległego rogu ulicy, a jój kroki pozostawiły głębokie ślady na świeżo upadłym śniegu.

— Witam cię obywatelko, rzekł doktor.

— Witam cię obywatelu, odparła pani Defarge i przemknęła prędko jak cień po białej drodze.

— Podaj mi rękę kochana Łucjo i uzbrój się w mężstwo, zaklinam cię na miłość Karola. Jutro twój mąż ma stanąć przed sądem.

— Jutro, mój Boże!

— Nie ma do stracenia chwili czasu, przygotowałem wszystko co może być potrzebném do obrony Karola, ale dopóki nie stanie on przed trybunałem, nie stanowczo go przedsięwziąć niemogę. Jutro rano przeprowadzą Karola do Conciergerie, ale bądź dobrej myśli i nieobawiaj się moje dziecko, mam nadzieję że sprawa jego dobry weźmie obrót i zakończy się pomyślnie. Łucja zaledwie tylko zdołała odpowiedzieć te słowa: ufam ci mój ojczu.

— Dobrze robisz że ufasz mi moje dziecko, wkrótce nastanie koniec twoim cierpieniom, bo za kilka godzin mąż twój kochany powróci w twoje objęcia.

Muszę się koniecznie zobaczyć z panem Lorry; pójdźmy do domu Łucjo! Pan Manette podał rękę córce, która pożegnała wzrokiem szare mury więzienia i poszła opierając się na jego ramieniu. (D. n.)

## U B I O R Y.

Zwiedzałyśmy niedawno świeżo założony magazyn wyrobów płóciennych i perkalowych (lingerie) pp. Sokołowskiego i Wilczewskiego w nowéj Resursie obok kościoła księży Bernardynów. Taniósć jaką się odznaczają niektóre oglądane przez nas przedmioty, połączone z wykończeniem staranném nie pozostawia nic do życzenia. — Polecamy szczególnież cztelniczkom naszym czepeczki ranne i nocne, kołnierzyki z mankietami i gorsy do koszul męzkich, wszystko to bowiem w domu uszyte pewnie więcéjby wyniosło rachując czas i materjał. Kołnierzyki (bardzo cienkie) płócienne wraz z mankietami, starannie wykończone kosztują po złp. 2 i gr. 10, także same garnitury pikowe i dymkowe z czarnym szlaczkiem są po złp. 1 gr. 15 — a nawet po 40 gr. — Tanność ta pochodzi z przyczyny że szyte są na maszynie inaczej bowiem robota by się nieopłaciła. Dziecinne garnitury są również po bardzo niskich cenach, jako to po złp. 2 — złp. 1 i gr. 15 — a nawet krezki uszyte po 25 gr. — Po złp. 3 — 4 — 5 — są śliczne kołnierzyki i mankietki mogące już służyć do ubrania wizytowego. Dalej idą kołnierzyki z mankietami na muslinie haftowane od złp. 3 za garnitur — hafty na płótnie, oraz imitacje *point de Bruxelles*, *point a l'aiguille* i *application sur le point a l'aiguille* w różnych

cenach, lecz o tych jako o rzeczach należących wyłącznie do większego stroju obecnie mówić obszerniej nie będziemy. Wolemy raczej wspomnieć o licznych czepeczkach neglected, z białego czarno naszywanego żaknotu (do prania) po złp. 5. — Trudno rzeczywiście znaleźć coś tańszego i gustowniejszego zarazem na codzienne ubranie. Gorsy do koszul męzkich z jak najcieńszego płótna i najpiękniej odrobione są od złp. 3 gr. 10, do złp. 7 i pół, również gotowe kołnierze po złp. 1 i mankiety po złp. 2. — Polecamy także dla zręcznych i niezwyčajnych fasonów kaftaniki i czepeczki nocne. Pierwsze są po złp. 10 sztuka aż do złp. 30 — stósownie do materiału i wykończenia. Karczki haftowane płócienne z rękawami do pięknych koszul kobiecych sprzedają się osobno na sztuki. Koszule męskie i kobiece, pierwszych tuzin od złp. 240 — drugich od 200 aż do cen wyższych stósownie do gatunku płótna. W tymże magazynie znaleźć można znaczny wybór płócien pochodzących z najcelniejszych europejskich fabryk, jako to belgijskie, (toile de Courtrai) surowe bez apretury, billefeldzkie, angielskie i szląskie, płótna maszynowe i ręczne od złp. 80 za sztukę. Chustki do nosa są od złp. 13 gr. 10 tuzin, są téż batystowe gładkie i haftowane. Bielizna stołowa hollenderska bardzo trwałą

i w piękny deseń w garniturach na 6 — 8 — 12 — 18 — i 24 osób od 30 i pół złp. za garnitur; pojedyncze obrusy od złp. 13 i pół; serwety pojedyncze białe i kolorowe czysto lniane od złp. 18 wyżej — pasowe tureckie po złp. 10 i pół. Serwetki deserowe od złp. 16 gr. 20 za tuzin. Prócz wymienionych tu gatunków, znajdują się w tym składzie serwety pół jedwabne z nici i jedwabne, białe i kolorowe. Ręczniki holenderskie w najrozmaitszych gatunkach i deseniach od 36 złp. za tuzin. Pończochy dwojaki angielskie i francuzkie, bardzo trwałe bo dubeltowe w palcach i na piętach cena od złp. 26 gr. 20 za tuzin. Poszewki haftowane — franki na różne ceny, spódniczki podwłosniki i bluzki ranne, słowem wszystko co wchodzi w obręb bielizny znaleźć można w tym magazynie. Szlarki haftowane, wstawki, koroneczki znajdują się tamże w znacznej ilości i bardzo tanie. Można dostać także na łokcie tiulu czarnego i białego gładkiego i w deseń, półbatystu, nędzaku, żaknotu i różnych tym podobnych wyrobów. Widzieliśmy tam również weloniki koronkowe, gazowe, tiulowe i t. p. — Bielizna nie należy do przedmiotów wykwintu, rozpisaliśmy się przeto o nią w porze gdy o ubiorach nie ma nic nowego do powiedzenia. — Z ryciny naszej widzimy że w Paryżu ubierają się mniej więcej tak samo jak w naszym roku, krótkie paltociki i kapelusze podniesione mocno po nad czołem zawsze się utrzymują. Suknie nieuległy również zmianie co do kroju, rękawy u nich otwarte średniej szerokości, staniki pod szyję z małym bawecikiem gładkie po największej części, spódnice tylko będą coraz mniej pretensjonalnie przybrane. Mówią że wykwintne panie tameczne, poodrzucały już zeszloroczne szerokie koronkowe naszycia i coraz więcej do gładkich powracają sukien. O wystroju odmiennego koloru niema już nawet mowy, za bardzo był już upowszechniony — jeżeli czarnym wolno jeszcze naszyć suknię, to co najwięcej, w ogóle zaś ubierają je tymże samym kolorem. Najwięcej używaną barwą w Paryżu jest kolor orzechowy zwany *Havane* zapewne od cygar tego imienia. Oprócz materji wełnianych i jedwabnych żaknoty nawet wyrabiać mają orzechowe. Suknia *Havane* i takiż kapelusz podpięty innym więcej ożywionym kolorem, stanowią obecnie najmodniejsze ubranie. Powiadają że później zmieni się trochę fason kapeluszy na tak zwany *Marie Stuart*, w żąb po nad czołem, lecz to jeszcze nie pewne. W porze wyjazdu na wieś i do wód powrócą znów *berżerki*, *marynarki* i t. p. tymczasem noszą jeszcze zwyczajne kapelusze dość strojne. Jeżeli przyozdobione piórami, nie potrzebują welonika, skromniejsze, zwłaszcza do wyjścia na ulicę nie mogą się obejść bez tego dodatku. — Kołnierzyki płócienne dubeltowe oszyte niekiedy walencienką bardzo są zawsze używane. Mankiety znacznie węższe noszą, niewiadać już owych buf olbrzymich, na-

tomiast płaski prawie rękaw otwarty u ręki. Buciki z fioletowego safianu przystrojone czarną koronką są bardzo używane po domu. Krynolin każda strojna pani powinna mieć dwa rodzaje dłuższą i szerszą do ubrania, węższą zaś i krótszą do domu i na ulicę. Francuzki wymyślają coraz więcej rodzajów spódnic pod suknie, wełnianych kolorowych tak zwanych *wiosennych*. Niektóre z nich na tle kolorowym mają wrabiany szlak czarny niby koronkowy, inne znów naszyte u dołu trzema rzędami falbanki rurkowanej odmiennego koloru, a inne wreście obłożone szerokim skórzanym pasem nabijanym stalkami. Spódnice białe perkalowe i żaknotowe przyozdabiają rozmaicie wstawkami, falbankami i koronką zwaną *valencienne*. Piszą nam jeszcze z Paryża że magazyny tameczne zarzucone mnóstwem wełnianych materji które są bardzo używane tej wiosny jako to: angielskie *bombaziny* szkockie *fulary* irlandzkie *popeliny* i t. d. — Skończywszy to sprawozdanie o modach obcych, dodać jeszcze musimy, że u nas każdy nosi to co ma, aby o ile możności unikać niepotrzebnych wydatków, ponieważ zaś suknie zużyte zastąpić potrzeba niekiedy innemi, przeto jak tylko magazyny nasze sprowadzą świeże wiosenne towary, nieomieszkamy zdać z nich sprawę czytelnikom.

#### Objaśnienie tablicy rysunków.

- N<sup>o</sup> 1. Oszyte tasiemeczką do dołu sukienki dla trzechletniej dziewczynki.  
 „ 2. Przód stanika téjże sukienki.  
 „ 3. Połowa pleców. — 4. Berta od przodu.  
 „ 5 — 6 Berta od pleców.  
 „ 7 — 8 — 9 — 10. Rękawki. Litery wskazują miejsca w których się pojedyncze sztuki schodzić mają.  
 „ 11. Całość sukienki.  
 „ 12. Cyfra na poszewkę.  
 „ 13. Cyfra do chustki od nosa.  
 „ 14 — 15 — 16. Szlarki do koszul.  
 „ 17. Kapa na poduszkę. Haft atłaskowy, medaliony na podłożonym tiulu.  
 „ 18. Stuła. Aplikacja aksamitu karmazynowego na białej materji; żyłki, promienie, gałązki z bajorku złotego, paciorki mleczne.  
 „ 19 — 20. Kołnierzyk i mankiety atłaskiem.  
 „ 21 — 22. Kołnierzyk i mankiety.  
 „ 23. Cyfra.  
 „ 24 — 25 — 26 — 27 — 28. Szlarki i żąbki.  
 „ 29. Połowa karczka z dubeltowego płótna od przodu dzienniej koszuli.  
 „ 30. Połowa karczka od tyłu.  
 „ 31. Rękaw od koszuli.

*Sprostowanie.* Do Wspomnień rodzinnych zamieszczonych w marcowym zeszycie, wciśnęły się następujące omyłki drukarskie: str. 369 druga szpalta wiersz siedemnasty w miejscu *szwedzi* czytaj *sąsiedzi*. Na str. 379 w przypisku w ósmym wierszu, zamiast *do roku 1815* czytaj: *od roku 1815*. Na str. 382 w przypisku wiersz dziwiącym zamiast *w roku 1718* czytaj: *w roku 1708*.





KÓŁKO DOMOWE

Kwiecień 1863



131



№ 6. berta od pliczka

№ 13

№ 7. berta od pliczka

№ 8. berta od pliczka

№ 4. berta od pliczka

№ 5. berta od pliczka

№ 11

№ 12

№ 14

№ 15

№ 16

